# Świat Kobiecy

ROK X 15 STYCZNIA 1930 R. N-R 2



# DO CZYTELNICZEK!

*Rozpoczynając dziesiąty rok istnienia „Świata Kobiecego”, stajemy przed naszemi Czytelniczkami z uczuciem uczciwie i sumiennie spełnionego zadania. ■ Nie przyrzekamy nad miarę możności, nie staramy się o głośną reklamę, lecz usiłujemy gorąco wniknąć w istotne potrzeby pań domu ze sfer średnich i służyć im — wedle najlepszych chęci — zarówno moralną pomocą na drodze korespondencji, jak i wskazówkami praktycznemi w artykułach. ■ Pismo nasze, jakkolwiek o typie żurnalowym, chlubi się najpierwszymi w Polsce współpracownikami, i daje treść pełnowartościową, skondenzowaną, nierozwodnioną bezwartościowemi drobiazgami i czczą gadaniną. ■ Każda stronica, każdy wiersz niemal, jest w naszem piśmie wyzyskany ku pożytkowi Czytelniczek. ■ Każdy poszczególny dział jest głęboko i wnikliwie przemyślany, opracowany i jedynie z myślą służenia dobru naszych Czytelniczek wprowadzony. ■ Któraż kobieta może się dziś obejść bez swego pisma!? Pisma... ■ któreby jednoczyło w sobie zalety wielostronnego doradcy w królestwie domowem, w sprawach pedagogicznych, estetycznych i kultury ciała — ■ któreby pomogło ubrać siebie i swoją rodzinę modnie i wytwornie a ekonomicznie — ■ któreby umiejętnym doborem treści literackiej kształciło umysł i informowało o wszystkiem co się dzieje w literaturze i sztuce, w dziedzinie techniki, przemysłu i wynalazków. ■ Te wszystkie zalety jednoczy w sobie „Świat Kobiecy”, który z każdym rokiem staramy się doskonalić, pogłębiać i uwspółcześniać. ■ Gorącem uznaniem cieszą się praktyczne działy: Kącik praktyczny, który jest w pomysłach nieprześcigniony i uwzględnia wszystkie nadsyłane nam listownie życzenia Abonentek, dostarczając zarazem dokładnych krojów; Odpowiedzi redakcji, które już mają swoją markę; Cośniecoś dla Panów, stale prowadzony dział mody męskiej, nie uwzględnianej tak systematycznie w żadnem z pism pokrewnych, a za który to dział otrzymuje redakcja zewsząd słowa uznania. W skromnych gospodarstwach średnich sfer jest on wielką pomocą przy zakupnie garderoby, a formy na modele pyżam, chałatów i bielizny męskiej podawane w Kąciku Praktycznym są masowo zamawiane. ■ Powiększanie się liczby Abonentek z roku na rok, mimo całej powodzi nowych pism kobiecych w kilku ostatnich latach, jest naszą prawdziwą chlubą i radością, a zarazem dowodem pożyteczności pisma i jego dążenia z postępem. Im większa ilość Abonentek, tem większe możliwości rozszerzenia i wzbogacenia pisma. Dlatego w dobrze pojętym własnym interesie Czytelniczek prosimy je o zdobywanie nowych Abonentek i o przysyłanie nam adresów swoich znajomych, które otrzymają od nas numery okazowe „Świata Kobiecego”. Niech ten drobny wysiłek wysłania kartki lub zaagitowania w towarzystwie będzie dowodem wdzięczności dla pisma, o której nas tak mile i często zapewniają Czytelniczki. My, ze swej strony, również potrafimy okazać wdzięczność w sposób, który nasze Sympatyczki w zupełności zadowoli. Warto pamiętać o tem, że „Świat Kobiecy” wypada taniej w prenumeracie. Prenumerata wprost, to znaczy w administracji pisma, jest najkorzystniejsza, gdyż uprawnia do bezpłatnych premij. ■ Piękne premje „Świata Kobiecego” otrzymują Czytelniczki po wpłacie półrocznego abonamentu. Czytelniczki, którym jest trudno uiścić naraz abonament półroczny, mogą go rozłożyć na dwie raty, muszą tylko zaznaczyć, że zobowiązują się do prenumeraty półrocznej. ■ Niektóre półroczne Prenumeratorki nie upominają się o premje, coby świadczyło, że niedość uważnie czytają nasze odezwy. Gdyby tę uwagę przeczytała któraś z nich, prosimy niech się natychmiast upomni o przysługujący jej tomik, dopóki mamy je jeszcze w zapasie. ■ Wszystkie nowe Abonentki „Świata Kobiecego” otrzymają bezpłatnie początek cennej i przepięknej powieści drukowanej obecnie w naszym dwutygodniku, a mianowicie: May Sinclair — Anna Severn, niech więc żadna z pań nie zapomni zażądać tego przy zamawianiu prenumeraty. ■ Każda półroczna Prenumeratorka otrzyma bezpłatną premję w postaci wybranej przez siebie książki z pośród następujących: Ewa Szelburg: „Polne grusze”, Aleksander Dumas: „Historja dziadka do orzechów”, Edgar Wallace: „Miś”, oraz Pierwszy, Drugi, Trzeci, Czwarty lub Piąty Almanach „Świata Kobiecego”.*

*OD WYDAWNICTWA*

*Na koszta przesyłki premij należy przysłać zł 1·50.*

# PIĄTY ALMANACH ŚWIATA KOBIECEGO NA ROK 1930

## WYSZEDŁ Z DRUKU!

*Pożyteczne to wydawnictwo, cieszące się wielką poczytnością i uznaniem nietylko wśród naszych Abonentek, zyskało sobie niezwykłą popularność w sferach kobiet, które pragną prowadzić dom swój na stopie współczesnej, czyli: wytwornie, wedle najnowszych ulepszeń i tanio. ● Almanachy Świata Kobiecego są czemś w rodzaju Encyklopedji Gospodarstwa Domowego — i z tego powodu niezbędne w domu każdej kobiety. Zwłaszcza panie mieszkające na prowincji, które nie mają do dyspozycji wielkomiejskich instytucyj, magazynów i t. p. źródeł informacyjnych, znajdą w „Almanachach” istną kopalnię wiadomości z zakresu sztuki stworzenia kulturalnego i estetycznego ogniska domowego, oraz racjonalnej pielęgnacji ciała. ● Treść: OD WYDAWNICTWA. — PIELĘGNOWANIE URODY: Ogólne uwagi, Trucizny wytwarzające się w naszym organizmie, Mydła, Podręczne recepty. — ZIOŁA LECZNICZE. — BIŻUTERJA. — URZĄDZENIE MIESZKANIA: Salon-studjo, Pokój dla dzieci, Modne firanki, Parawany, Makaty, Dywany. — POŚCIEL: Kołdry, Materace. — ROBOTY RĘCZNE: Roboty z łyczka, Haft [illegible] w łatwem zastosowaniu. — GOSPODARSTWO DOMOWE: Metody nowoczesne w gospodarstwie domowem, Szczególne wypadki prania.*

**OD CZTERECH LAT ZARÓWNO CENA POSZCZEGÓLNEGO NUMERU JAK I PRENUMERATA „ŚWIATA KOBIECEGO” NIE ULEGŁY ZMIANIE, MIMO ŻE NIEJEDNOKROTNIE W TYM CZASIE WZRASTAŁY KOSZTY PAPIERU, DRUKU, ORAZ KOSZTA ADMINISTRACYJNE. OBECNIE JEDNAK, KIEDY NADOMIAR TEGO WSZYSTKIEGO PODNIOSŁY SIĘ KOSZTA PRZESYŁKI, Z NAJWIĘKSZYM WYSIŁKIEM UDAŁO SIĘ NAM UTRZYMAĆ DOTYCHCZASOWĄ CENĘ POSZCZEGÓLNEGO ZESZYTU „ŚWIATA KOBIECEGO”, NATOMIAST PRENUMERATA MIESIĘCZNA, KWARTALNA, PÓŁROCZNA I ROCZNA MUSIAŁY ULEC MINIMALNEJ PODWYŻCE.**

## WARUNKI PRENUMERATY ŚWIATA KOBIECEGO NA R. 1930:

**CENA ZESZYTU ZŁ 2·— wraz z przesyłką**

**MIESIĘCZNIE (2 ZESZYTY): ZŁ 4·— (PRZEDTEM ZŁ 3·80)**
**KWARTALNIE (6 ZESZYTÓW): ZŁ 11·— (PRZEDTEM ZŁ 10·50)**
**PÓŁROCZNIE (12 ZESZYTÓW): ZŁ 19·— (PRZEDTEM ZŁ 18·—)**
**ROCZNIE... (24 ZESZYTÓW): ZŁ 38·— (PRZEDTEM ZŁ 36·—)**

**Prenumeratę prosimy wpłacić zapomocą załączonego blankietu P. K. O. Kto zapłaci prenumeratę półroczną, otrzymuje piękny tom „Almanachu Świata Kobiecego” (Pierwszy, Drugi, Trzeci, Czwarty lub Piąty do wyboru). Na koszta przesyłki prosimy załączyć zł 1·50.**

**Admin. „Świata Kobiecego”**

ŚWIAT KOBIECY

WYCHODZI 1 i 15 KAŻDEGO MIESIĄCA — N-R 2 — ROK X — WARSZAWA — LWÓW — 15 STYCZNIA 1930 ROKU



# UMIERAJĄCY ZBYTEK

Warszawa, w styczniu

Warszawa była od dłuższego już czasu miastem, które żyło nad stan.

Żyło nad stan wówczas, kiedy ze Wschodu płynęły do niej wartkim strumieniem ruble, kiedy po szantanach i restauracjach dzwoniły ostrogi szykownych gwardyjskich oficerów i kiedy od chwili powstania Państwa Polskiego zaczęły się niesamowite harce waluty. Utrwaliło się tedy zdawiendawna niefrasobliwe bytowanie, zakorzeniły się lekkie poglądy i beztroskliwość w obliczu najbliższej przyszłości. Warszawa była miastem, które podsycało wszelkie „jakoś to będzie". Wystarczało mieć głowę na karku, trochę stosunków, trochę pieniędzy na dobre śniadanie, żeby się wygramolić z najniebezpieczniejszej i najtrudniejszej sytuacji. To była taka sobie kochana Warszawka, która nie dała nikomu zginąć, która potrafiła najsurowsze poglądy przemienić na lekkie i swawolne.

Była ona przytem jakby ekspozyturą tej wielkiej Rosji, gdzie starczyło zawsze miejsca na ludzką przedsiębiorczość i rozmach w szerokim stylu. Pomimo ciężkich kajdan niewoli nadwiślańska Syrena patrzyła z pobłażliwą pogardą na galicyjskich „centusiów" i praktycznych Poznaniaków. Pyszniła się niepomiernie wspanialszą skalą życia, łatwym dobrobytem i niezawisłością zawodów. To, co w Krakowie, Lwowie lub Poznaniu zdobywano z wielkim trudem, w pocie czoła, tutaj przychodziło samo, bez wysiłku. Życie było łatwe!

W tych czasach Królestwo i Kresy polskie popierały w wydatny sposób wszelkie zamierzenia kulturalne, które rodziły się w innych zaborach i stwarzały dla nich nieraz istotne podstawy materjalne. Inteligencja warszawska, jako klasa wówczas przodująca i doskonale sytuowana, objawiała niejednokrotnie ambicje szlachetne i upodobania wartościowe. Poza tem szumiało tutaj życie bujne i wesołe, jak kielich wina szampańskiego wypełnionego po brzegi. Powstały całe zastępy ludzi, których utrzymywał rozkiełznany zbytek. Wielkie fortuny ludzi przemysłu i ludzi ziemi topniały w pieściwych rączkach ówczesnych gwiazd i gwiazdeczek. A jednocześnie krążyli dokoła pomniejsi satelici — pomiędzy światem wielkich blasków a czeluściami pospolitej rozpusty i cynicznego wyzysku.

Potem przyszła wojna, która dokonała pogromu inteligencji, wykazała w nielitościwej lekcji poglądowej jej nieprzygotowanie do życia, a jednocześnie wyzwoliła całą drzemiącą drapieżność i nienasyconą jeszcze żądzę używania.

Zapanowali wojenni dorobkiewicze, spryciarze, kombinatorzy i wielkomiejscy cwaniacy. Cisnęli się do stołów suto zastawionych ci, którzy wystawali dotychczas w przedpokojach i przedsionkach. Jeden szczęśliwy manewr, jedno posunięcie trafne wydobywały z nizin życia ludzi o czarnych paznogciach i dziurawych podeszwach. Przemówiły instynkty brutalne i bezceremonjalne chamstwo. Polityka była niejednokrotnie splątana z najciemniejszemi interesami. Wychudzeni idealiści i wyposzczeni męczennicy przeobrażali się nagle, powszechną porwani falą, w rozpasanych bonvivantów. Kolisko zbytku wraz ze wszystkiem, co się razem z nim obracało, znalazło nowych protektorów. Byli zgrubsza ciosani, nie zapominali nigdy o rachunku — ale szaleli po swojemu. W restauracjach i kabaretach było pełno, jazz huczał, czerwone łapy obejmowały wiotkie kibici zalotnych Titin, nad ranem płacono po pijanemu olbrzymie rachunki, kupowano obrazy, klejnoty, wszelkie starożytności, kosztowne cacka, najdroższe futra i tkaniny, albo kupowano poprostu dolary. Nowi ludzie podtrzymywali dawne splendory, a jednocześnie przemieniali zrabowane pieniądze na przedmioty o nieprzemijającej wartości.

To złudzenie dostatku trwało tak długo, aż zaczęło przeważać życie normalne, życie skromne, życie ludzi ubogich, o środkach pewnych, ale ograniczonych.

Wówczas nasz warszawski zbytek zaczął umierać i umiera w dalszym ciągu. Okazało się bowiem, że w naszych współczesnych warunkach nie posiada on żadnych istotnych podstaw. Był tworem sztucznym i musiał ustąpić wraz z tem wszystkiem, co było anormalne. Ciężka sytuacja gospodarcza, która trwać będzie przez czas jeszcze bardzo długi, wymaga bardzo skromnego budżetu w każdym polskim domu.

Jest to rzeczywistość nieuchronna, której nic nie może odwrócić, która domaga się przystosowania i przekształcenia całego dotychczasowego luksusu, całego życia nad stan na egzystencję skromną i ograniczoną.

Trudno się również spodziewać, żeby nas w tem „nieszczęściu" podtrzymywali bogaci cudzoziemcy. Paryżowi północy daleko jeszcze do atrakcyj prawdziwego Paryża. Nasze ubóstwo, nasze olbrzymie wysiłki przy rozwiązywaniu najprostszych, gdzie indziej już dawno przetrawionych, zagadnień, nasza martwota umysłowa i twórcza — to wszystko razem stwarza atmosferę, która nie może przyciągać do nas ludzi z szerokiego świata.

Jesteśmy pozostawieni samym sobie, jesteśmy na długie lata ograniczeni do codziennych kłopotów i szarych trosk. Nie pozostaje nam tedy nic innego, jak dawny, niczem nieusprawiedliwiony, zamaszysty luksus przemienić na rozkosze bardziej szlachetne, a jednocześnie mniej kosztowne...

ST. DZ.

# SZKOŁA ŚREDNIA OGÓLNO-KSZTAŁCĄCA

*Wychowanie powinno z umysłów przeciętnych dobywać wszystko co można,.szanować umysły oryginalne o ile może, lecz nigdy nie starać się ułatwiać przejścia umysłom przeciętnym do oryginalności, ani oryginalnym do przeciętności.* E. FAGUET

Zadaniem szkoły średniej ogólno-kształcącej, jak nazwa jej wskazuje, jest stworzenie jak najszerszej i jak najtrwalszej podstawy dla dalszych studjów naukowych, w zakresie rozmyślnie wybranej specjalności. Podstawą każdej specjalnej wiedzy winna być pewna ilość niezbędnych wiadomości z różnych dziedzin, boć przecie wyjaśnienie jakiegokolwiek zjawiska z której bądź gałęzi poznania wymaga znajomości najróżnorodniejszych nauk, pozornie nawet, nic nie mających z nią wspólnego. Dlatego kto chce naprawdę rozumieć zjawiska przyrody, ten musi zapoznać się z fizyką i chemją, matematyką i biologją, botaniką i zoologją, geologją i paleontologją. Podobnie ktoby chciał dochodzić do pełnego rozumienia zjawisk artystycznych, ten musi sobie przyswoić filozofję, wraz z jej naukami propedeutycznemi, specjalnie estetykę spekulatywną i eksperymentalną, historję sztuki i literatury, historję powszechną wraz z szeroko pojętemi dziejami kultury, a niejednokrotnie trzeba sięgnąć i do matematyki, fizyki lub chemji. Z drugiej strony nie zaszkodzi nikomu, nawet oddającemu się z największem zamiłowaniem czyto wiedzy technicznej w jej rozlicznych gałęziach, czy medycynie lub teologji lub prawa, znajomość encyklopedyczna nauk humanistycznych, nie mówiąc już o tem, że koniecznością jest poznawanie jak największej ilości języków obcych.

Z tego pobieżnego zestawienia widać, iż zadanie szkoły średniej będzie tem lepiej wypełnione, im gruntowniej pojętą wiedzę encyklopedyczną swoim wychowankom zdoła uprzystępnić. A zatem podstawową właściwością szkoły średniej ogólno-kształcącej winno być unikanie wszelkie przedwczesnej specjalizacji, w tych nawet wypadkach, jeśliby wybitne uzdolnienia i upodobania daną jednostkę do niej poniekąd uprawniały. Przedwczesna specjalizacja, nie oparta na realnej podstawie wiedzy encyklopedycznej, musi nieuchronnie prowadzić do zacieśnienia myśli i zdolności rozumienia poszczególnych zjawisk. W tym celu program szkoły średniej winien opierać się w pierwszym rzędzie na przedmiotach umysł ogólnie i formalnie kształcących, a w drugim rzędzie dopiero dających zasadnicze wiadomości z poszczególnych nauk. Osobną grupę tworzą przedmioty przyczyniające się do ugruntowania podstaw moralności i etyki. Właściwości jak najogólniej i formalnie kształcące posiadają języki klasyczne, a więc grecki i łaciński, oraz logika i psychologja. To przekonanie było wprost dogmatycznym, niewzruszonym pewnikiem przez długi ciąg wieków, dopiero ostatnie dziesiątki lat, odznaczające się wybitną chęcią eksperymentowania w dziedzinie wychowywania i nauczania, podały to założenie w wątpienie. Niezmierny rozwój techniki ostatnich czasów zaczął nasuwać dążenia usiłujące wykreślić z zakresu nauczania powszechnego języki klasyczne, jako zbędne dla zdemokratyzowanych społeczeństw, presumując, że przyczyniają się one wyłącznie do wzmożenia kultury estetyczno-historycznej a nie ogólnej. W ślad zatem zaczęło się przyjmować przeświadczenie, że lepiej byłoby, zamiast zamęczać umysły młode zawiłościami filologicznemi i gramatycznemi, kierować je raczej do nauk praktycznych, stwarzających materjalne podstawy bytu jednostek i społeczeństw, a więc nauk przyrodniczych i matematycznych. Z tych dwu przesłanek wydedukowano dwie dalsze, iż nauka języków starożytnych pochłania zbyt wiele drogiego czasu, wobec czego jest zbyt drogiem studjum dla zdemokratyzowanego społeczeństwa, nadającem się tylko dla elity umysłowej a nie dla przeciętnych jednostek, mających jak najrychlej wejść w życie praktyczne, wolne od wszelkich urojeń kulturalno-estetycznych.

To pozornie słuszne rozumowanie w praktyce doprowadziło do bardzo poważnych następstw, polegających na tem, że wprowadzono kilka typów szkoły średniej, siłą faktu zmuszających młodzież do przedwczesnej i niepożądanej specjalizacji, a tem samem podcięto rozwój tak pożądanego szkolnictwa zawodowego średniego. W nielicznych gimnazjach o typie klasycznym lub humanistycznym doprowadzono naukę języków starożytnych, jeżeli nie do całkowitego absurdu, to w każdym razie do karykatury, uniemożliwiającej wprost racjonalne nauczanie. I już po kilku latach panowania tych udoskonalonych i do życia rzekomo przystosowanych planów szkół średnich okazało się, iż wyszkolona na nich młodzież przynosi na uniwersytet tak rażące braki zarówno w filologji klasycznej, jak językach nowożytnych, zwłaszcza w niemieckim, w propedeutyce filozoficznej i w całem wyszkoleniu formalnem, że wprost mowy być nie może o normalnej, na przeciętnym poziomie uniwersyteckim postawionej nauce. Stwierdzają ten smutny stan rzeczy enuncjacje profesorów reprezentujących wszystkie dziedziny nauki, a najdosadniejszym ich wyrazem może być prof. W. Witwicki w znakomitym artykule p. t.: „Młodzież a nauka", ogłoszonym w „Głosie Prawdy" Nr 180 z dnia 12 lutego 1927 r. Gdzież są więc te błogosławione następstwa zreformowanej i jakby zdemokratyzowanej szkoły średniej, o których tak górnie i kwieciście prawili jej twórcy i teoretycy? Czy będzie to zyskiem dla społeczeństwa, że zyska po niedługim czasie pokolenie wnoszące w życie słabe wyszkolenie ogólne i fachowe, ale nadto pozbawione tej niezbędnej „wagi w słowach"? Jakie skutki dalsze dla kształtowania się kultury, nauki i sztuki ten fakt wywoła, niepodobna jeszcze przesądzać, w każdym razie do błogosławionych trudno je będzie zaliczyć.

Możnaby zaryzykować twierdzenie, że znacznie mniej niebezpieczeństw kryje się w szkole średniej o typie klasycznym, niż w wielorakich rodzajach szkoły średniej, i że ewentualnie osiągalne korzyści z usunięcia lub ograniczenia nauki języków klasycznych do absurdalnego minimum, nie wyrównają strat i szkód przy tej reformie poniesionych. Wszystkie dziedziny życia potrzebują w pierwszym rzędzie ludzi umiejących samodzielnie, bystro i produktywnie myśleć, zdolnych do jasnego i prostego wyrażania swych myśli w słowie i piśmie. Bez tej właściwości trudno sobie wyobrazić również i fachowców w którejkolwiekbądź specjalności. Na bystrości w ocenianiu i ujmowaniu wszystkich zjawisk życiowych polega przygotowanie do wytężonego i twardego życia. Wykształcenie tak zwane realne (w przeciwstawieniu do klasycznego) pod tym względem daje stanowczo mniej — stąd prosty wniosek, że nauka języków klasycznych daje wartości, których nie można tak łatwo żadnym innym przedmiotem zastąpić, a tem samem bezkarnie z systemu wychowawczego wyrugować.

Młodzież zmuszona na średniem wykształceniu poprzestać powinna mieć dostęp do najrozmaitszych typów szkół zawodowych kształcących, czyto na pomocników kancelaryjnych, czy na urzędników pocztowych, kolejowych lub buchalterów. Tym istotnie mało pożytecznem wydaje się studjum uniwersyteckie, zwłaszcza że na dobrym planie oparta szkoła średnia zapewni im także i ten konieczny poziom ogólny, ozłocony może w tym

czy owym względzie i promieniem rozumienia piękna i tem przeświadczeniem, że nie samym chlebem żyje człowiek.

Do szkoły średniej klasycznej winna uczęszczać ta młodzież przedewszystkiem, która w przyszłości ma zamiar poświęcać się studjom akademickim; reszta młodzieży znajdzie ugruntowanie swego bytu i przyszłości przez ukończenie odpowiedniej szkoły zawodowej. Ten, a nie inny, podział winien kierować młodzież przy wstępowaniu do szkoły średniej, zamiłowania mogą w całej pełni uzewnętrznić się dopiero w ciągu lat nauki szkolnej, a jeszcze będzie bardzo dużo odpowiedniego czasu do zaspokojenia głodu wiedzy fachowej, wypływającego z prawdziwego i celowego upodobania. Wydobycie tych prawdziwych upodobań naukowych i oparcie ich o podstawę rozległej wiedzy encyklopedycznej — oto jeden z najistotniejszych celów szkoły średniej ogólno-kształcącej. Od należytego wypełnienia tego zadania zależy w bardzo poważnej mierze zdrowie umysłowe i kultura społeczeństwa i państwa. Nie może być zatem rzeczą obojętną lub małoważną program szkolnictwa średniego. Dlatego nie powinien on być obcym światłej części narodu.

OUTSIDER

# MARYLA WOLSKA

## PROFIL POETYCKI

„Dusza moja na zawsze zostanie dziewczyną."

Werset ten, wyjęty ze świeżo wydanego „Dzbanka malin",* jest nieomylnem *charakteristikon* twórczości i psychiki (przez tę twórczość widzianej) Maryli Wolskiej. Jak wogóle zbiór ten, w doskonałej ustawiony perspektywie do tomów poprzednich, wylicza motywy twórcze poetki i całokształtu pisarskiego daje retrospekcję.



MARYLA WOLSKA

Wyraz poetycki Wolskiej cechowała zawsze powściągliwość i wytworność duchowa, wynikająca z głębokiej, dziedzicznej kultury. Powściągliwość, wypowiadająca się pod surdyną, płynąca z głębokiej uczuciowości i wstydliwości serca, tłumiła pełnię ekspresji. Artyzm osiągał niekiedy na tej drodze przedziwne wyniki — niekiedy wszakże popadał w retorykę, w oficjalną frazeologję, okrążającą świadomie istotę sprawy. Człowiek żalił się powielekroć na wrodzoną niezdolność do prawdziwego, szczerego gestu. „...Niegodny lęku, coś mi tylekrotnie, przed żywą, zwycięską prawdą, gorące, wyciągnione dłonie ku niej pętał i trwogą porażał w głos bijące serce, rozkołysane jak owoc dojrzały w ogromnym, silnym, południowym wichrze?!" I jeszcze: „O mnie, która byłam sobą, żaden widomy nie poświadczy ślad!" Są to najbardziej dojmujące, najwyrazistsze skargi z licznie rozsianych po pismach poetki wzmianek o słowach uwięzłych, o słowach przemilczanych. Sonet, otwierający nowy tom, w sposób znaczący mówi o „pani niewiadomej", której usta „śmieją się napół chytrze, a napoły smutnie, — bo któż wie, czy ją kiedy znali jej współcześni?"

Przeszkodą i tamą, pętającą wybuchy liryzmu, była duma, stwarzająca dystans do przedmiotu. Wyraz poetycki musiał opanowywać konflikt owego dystansu z wylewnością. Używał różnych wybiegów artystycznych. Akcentował panteistyczne wtapianie się w przyrodę, lub przywdziewał różne maski liryczne, maskę epiki albo dramatu. Sprzyjała temu młodopolska moda literacka w najlepszem znaczeniu tego wyrazu, znajdując zresztą wdzięczne podłoże w skłonnościach twórczych i zamiłowaniach poetki. Lecz z żarów „Ogni kupalnych", z za drewien gontyny, ulubionego wówczas „chramu", z poza hieratycznych sylwet bożyszcz słowiańskich, wychylało się własne oblicze poetki. Własne „dziewicze serce, co już dziś nie boli" drzemało w alabastrowej urnie obok śpiącej królewny Hatasu i własna, podstępnie zamazana w rysunku liryczna prawda czy „baśń o prawdzie" wyłuskiwała się ze staffizującej „Swanty". Dramat był dla Wolskiej, podobnie jak dla Staffa, pretekstem, albo strojem lirycznym. Była nią nawet nowela. W „Dziewczętach", podobnie jak na kartach liryków, słoneczny zegar stawał na niepowtarzalnej, bolesnej godzinie szczęścia, chwila mijania się pociągów na polnym przystanku rozstrzygała o życiu, a koniec bajki o królewiczu Niespodzianym odgrywał rolę nowoczesnego komentarza do prasłowiańskich losów witezia Godyna. Wogóle, w poezji Wolskiej jedne motywy zazębiają się o drugie i uzupełniają się wzajemnie, składając się na konsekwentną i logiczną całość.

Przyroda, będąca dla Młodej Polski, podobnie jak dla romantyzmu, krynicą natchnienia, w twórczości Wolskiej ma szczególnie doniosłe znaczenie. „Pół życia spędziłam w górach skolskich — pisze sama. — Okolica ta wywarła niezmiernie silny wpływ na moją młodość, a zwłaszcza pobudzające swą pięknością i tajemniczością niedalekie skalne uroczyska Bubnisk, Rozhurcza i Urycza były pierwszem polem dla mojej dziecinnej fantazji." „Miejscu świętemu wspomnień moich skałom w Bubniszczu" poświęcone są hymny „Z ogni kupalnych", „Fragment" z „Symfonji jesiennej" — a nakoniec wiersz „Szczytom Skolskim" i cały cykl „Godzin łaskawych" w „Dzbanku malin" okala słowy umiłowania te góry. I cały zrąb jej twórczości, oponującej współczesnej rzeczywistości, wspiera się w marzeniu i tęsknocie na głębokiej i bliskiej zażyłości z lasem i łąką, a nadewszystko z wodą „żywiącą, świętą wodą swego zdroja". Do tejto właśnie krynicy śródleśnej, do wód jej lodowatych a czystych, wracała Meluzyna, by pić z nich usty spragnionemi... Lecz jednocześnie nie sposób nie słyszeć wybuchu Swanty: „Ziemię i ogień, powietrze i wodę ko-

* Maryla Wolska: „Dzbanek malin". Medyka — Nakładem Bibljoteki Medyckiej 1929.

cham i oto świadomiście, czemu ręce me puste!...” Wydzierało się czasem przemocą niektóre z słów utajonych przemocą.

Duma, osnuwająca wybuch serca arabeskami wyrazu, hieroglifem słowa, zawsze i stale, od zarania po odwieczerz, słońcu pełnemu kłaniać się w pas nie broniła.

I owa duma gorzka, nakładająca gestowi i wyrazowi wędzidło, duma, wiejąca chłodem pozornym, duma, zadająca kłam porywom serca i grzech zaparcia się siebie na duszę ściągająca, syciła przynajmniej ambicję chodzenia własną samotną ścieżką, unoszenia się swobodnie ponad życiem (nad czem płakała Swanta...) i szczyciła się poczuciem, że jest „własna, swoja, niczyja, nieznana nikomu”.

Pokonywane tym głosem wyniosłym serce, podtrzymywało jednak swoją rację. Czuło, że „najwyższa życia jego nuta jeszcze nie wzięta” — i że „snom jego dzień żaden nie sprostał”. I wiedziało pod koniec, że „zadławiona prawda dziś się mści!” I skarżyło się na głód życia.

*„Tak mi się usta milczeniem znużyły,*
*Że dziś, choć wolno — mówić już nie zdołam.*
*Możem odwykła — może nie mam siły —*
*Tylko cię sercem po imieniu wołam,*
*Tylko z twym cieniem witam się cichaczem,*
*O ty mój miły! miły — miły — miły —*
*I w trawy, twarzą padam z wielkim płaczem!”*

Wierne echo żalów Swanty po spełnieniu rozkazu Morany.

„Dzbanek malin” przypada na porę poetyckiego owocobrania. Ma w sobie wszystkie pasma tkaniny — i jeszcze jedno nowe. Do dawnych tęsknot młodzieńczych i tu jeszcze pełnych młodzieńczej ekspresji, przybyła tęsknota ku Tamtej stronie. Rozwiązanie problemu, klucz do dręczącej zagadki życia, do tajni nieobeszłej i niezgłębionej — leży po tamtej stronie przepaści.

Tam tedy rwie się serce — „jak czerpak pusty po obrzędzie” — wsłuchane w głosy, dochodzące z głębi, od ognia i żywej wody. Nieostygły żar młodości, zaznaczający się silną ekspansją uczucia, nie przeszkadza zgoła temu poczuciu pustki i przesunięcia się środka ciężkości poza obręb spraw doczesnych. Oto jedna z nieprzeniknionych tajemnic ducha.

A z marzeń snutych o zmierzchu, wspominań ton się dobywa. Wspominań zarania, dawnych ludzi i czasów („O dawnym Lwowie”), nawet dawnych motywów literackich. Przecudna w rytmice piosenka o Jaśku z pod Sącza wraca jako motto w „Gościu”. Niby ciąg dalszy, niby odmianka marzenia. Niby odpowiedź. Niby bolesne w spotkaniu finale. „Młodość się ocknie, lecz zanim odżyje, na śmierć się zasłucha, zapatrzy!” I to westchnienie: „O pieśni wracające do domu!”

I są w tym zbiorze, spoglądającym wstecz i liczącym plon, w zbiorze rejestrującym trud drogi, nieuchronne „Krople goryczy”. Jakgdyby echo przekładanych ongi „Rubayatów” Omara Chayama, przesączonych rzetelnie przez własne serce.

*„Godnie zakończył duch, wódz zmordowany,*
*Serdeczne boje —*
*Lecz jakże dziwnie podobne przegranej*
*Zwycięstwo moje!”*

*

*„I cóż, że śnieg twój miłosierna zimo,*
*Ciszą śmiertelną na ogród mój padł?*
*Stóp na nim widzę jeszcze głębszy ślad,*
*Co wedle drzwi mych znowu przeszły mimo.”*

Z siły serca, wrażliwego i czującego, płynie w wielkiej mierze siła poezji Maryli Wolskiej. Z niej bierze się wyraz sugestywny i czar zawlekający jej słowo. Jej *vis poetica* wspiera się na programie natchnienia, diametralnie przeciwnym wszelakim wyrozumowanym programom i wiszącemu w powietrzu werbalizmowi doby dzisiejszej. Kunszt słowa, wysoki lot tych wierszy, różnorodność i wymyślność strofy i szczególne piękno jej poetyckiej prozy osobliwiej jeszcze uderza dziś, gdy poezja zstąpiła z hymnu do prostej powieści...

IDA WIENIEWSKA

## PRZEZ ZŁOTY LAS ZAMKNIĘTY...

V

*Nie mam dziś czasu, miły,*
*Bo jutro wielkie święto!*
*Warkocze się rozwiły*
*I szatkę mam pomiętą.*

*Ostatnie zbieram siły,*
*Lecz w tem już moja głowa,*
*By z wszystkiem, wszystkiem, miły,*
*Na jutro być gotowa.*

*Przyjdź zaraz rano, wcześnie,*
*Gdy dzwony będą biły,*
*Choćbyś mnie zastał we śnie,*
*Nie wracaj z proga miły!*

*I nie bój się, żem chora!*
*Jak ciebie kocham, miły,*
*Niech jeno przyjdzie pora,*
*To wstanę i z mogiły!*

VI

*Boso, rosą,*
*w las się niosą —*
*Słyszysz głosy ich?*
*Słodki, w motki*
*miękkiej zwrotki*
*Zaplątany śmiech?*

*Gdzie się w lesie*
*raz zaniesie,*
*Chciwy młodej krwi,*
*Płoną, pono*
*wkrąg czerwono,*
*Wydeptane mchy...*

*Lekka czeka*
*śmierć człowieka,*
*Co się z nimi wda,*
*Chwilę, tyle,*
*jeno ile*
*Pocałunek trwa. —*

*W wirze, śni, że*
*usta świeże*
*Na swych wargach czuł —*
*Lekka czeka*
*śmierć człowieka,*
*Co się niemi struł!*

## Z NOWEGO ZESZYTU

NIE CZEKAJ...

*Nie czekaj ty mnie,*
*Nie wołaj mnie!*
*W słocie i zimnie*
*Wiatr krzewy gnie...*
*Ptak już ostatni we mgle odlata,*
*Nie żałuj, nie wiń mnie!*

*Żaden się z lata*
*Snów nie powtórzy!*
*Chwila skrzydlata*
*Szczęściem się nuży;*
*Z okwitłych niw, skończnych żniw,*
*Z uwiędłych róż, dolę swą wróż,*
*Spełniony serca śnie!*

*

*Niedośniona, niedograna,*
*Słów niepomna już i miana,*
*Płaczem czyimś zachłyśnięta*
*Pieśń się błąka, pieśń się tuła,*
*Zapomniana...*

*Sama siebie nie pamięta,*
*Łzy czyjemiś się otruła,*
*Niedośniona, niedograna*
*Pieśń się błąka, pieśń się tuła,*
*Zapomniana...*

NIC

*Cości mi się przyśniło,*
*Cości w duszy się przędzie,*
*Czego nigdy nie było,*
*Czego nigdy nie będzie...*

*Cości w mrok się spowiło,*
*Zaszło w oczach mgłą białą,*
*Cości mi się przyśniło,*
*Cości mi się zwidziało...*

*MARYLA WOLSKA*

# „PIERWSZA KREW"

Pierwsza powieść Ireny Krzywickiej,* znanej ze swych doskonałych, głębokich i ciętych prac krytycznych, zawiera przeszło 200 stron — obejmujących jedną dobę, wielkoczwartkowy dzień. Już to, wobec dzisiejszego kinematografizmu, mogłoby zastanowić... Jest ona bez żadnej zbytecznej drobiazgowości napisana, intryga żywo przeprowadzona; dużo dowcipu, trafna charakterystyka ludzi — nawet ta Anda z Zielonego Kota, z powodu której dzieje się wiele rzeczy, ale której nie widzimy, pełna jest życia. Anda przemawiająca tylko raz, listem, na który jeśli odpowiedzi nie dostanie, to „chyba w tym Paryżu do Wisły skoczy."

W tej jednej wczesnowiosennej dobie, budząca się przyroda polska rozwija przed nami — nieomal egzotyczne — uroki, w ciągu tej jednej doby otwierają się kolejno drzwi trzech domów, zamieszkanych przez trzy rodziny, w Grudowie, pod Warszawą. A raczej trzy klapy, trzech młodych serduszek, z których pierwsza krew bólu wypływa. Dzięki tej pierwszej krwi, przyjętej ze wstrętem, zdziwieniem czy poczuciem swej mocy, krystalizuje się ich osobowość, ze świata dziecinnego przechodzą w świat dorosły. Życie ich pójdzie odtąd wyznaczonym mu torem. Jak było z niegdyś młodym, dziś starym panem Hieronimem, nauczycielem muzyki, przesuwającym się wśród bardzo realnych postaci, jak słabo zmaterjalizowana zjawa. W chwili weltszmercu wbił sobie nóż kuchenny w pierś, lecz wobec tej strużki lepkiej, ciepłej krwi — wszystko — prócz niego samego boleć i istnieć przestało: pojedynek życia zakończył — przy pierwszej krwi.

Jeśli tak uczynił człowiek z ubiegłej epoki, nieomal romantyk, cóż dopiero dzisiejsze pokolenie... Chociaż wbrew temu, coby się może naszej trzeźwości zdawało, powojenne pokolenie ma również wiele cierpień, kto wie nawet, czy nie te same, co dawniej, z jednego źródła płynące, tylko jak inaczej przynajmniej przez autorkę, jak inaczej i na nowo, jak ciekawie pojęte i oddane!

Dawniej, debiutujący rozpoczynał karjerę od literackiej likwidacji swej pierwszej miłości, dziś — oto już czwarta z naszych pisarek, po Dąbrowskiej, Kuncewiczowej i Mortkowiczównie — Irena Krzywicka występuje z porachunkiem dzieciństwa. Nie widzę w tem żadnej metody, ani tem bardziej żadnej manjery, świadczy to tylko o silnym na późniejsze życie wpływie — pierwszych odkryć świata uczuć. Książka ta wydaje mi się najgłębszą i najszczerszą analizą tego okresu, który jedynie w poezji sielski jest i anielski. Choć tu pesymizm może nadmierny, kto wie, czy nie z braku skali porównawczej wypływający. Autorka widocznie jest jeszcze blisko — wiekiem, nie dojrzałością, — tamtych lat. Tylko z doświadczenia pana Hieronima, nie własnego, wie że wszelkie rozczarowanie mniej boli w pierwszej młodości, gdy przyczyn jego się nie zna i ciężar zawodów na los składa, aniżeli w wieku późniejszym, gdy rozumie się winy własne i, co gorsza, umie się wytłumaczyć niewinność innych...

Rozpoczynając czytanie, patrząc jak Irena Krzywicka wprowadziła na scenę świetne typy, bawiłam się doskonałą książką, potem pokochałam dobrą książkę, którą zamknęłam z żalem, jak się żegna każdą mądrą książkę...

Jest ona zakrojona na wielką skalę i wymaga dalszego ciągu. Autorka pewnemi napomknieniami jakby go obiecuje. W każdym razie czytelnik bardzo żywo tego pragnie.

AURELJA WYLEŻYŃSKA

* Irena Krzywicka: „Pierwsza krew". Powieść. Warszawa, 1930 r. Nakładem F. Hoesicka.

# OBRAZY

VALERY LARBAUD: Poésies de A. O. Barnabooth

I

To było w Charkowie, w podmiejskiej dzielnicy
(O Rosjo południowa, gdzie wszystkie kobiety
W białych na głowie chustach, podobne Madonnom)
Widziałem niewiastę młodą, która wracała od studni
Niosąc nisko, jak w czasach Owidjusza
Dwa wiadra, zawieszone u końców drzewca
W kołysach na szyi i ramionach.
I dziecię widziałem w łachmanach, zbliżające się ku niej
z słowami na ustach.
Więc ciało swe miłośnie na bok przeginając
Sprawiła, że wiadro pełne wody czystej dotknęło bruku
Na poziomie warg dziecka, które, by pić
uklękło.

II

W Rotterdamie, rankiem, na bulwarze de Boompjes
(Było to 18 września 1900, około ósmej)
Widziałem dwie młode dzieweczki, idące do swych pracowni;
I u jednego z wielkich, żelaznych mostów, powiedziały sobie
dowidzenia
Bo drogi ich były różne.
Objęły się najczulej; ramiona ich drżące
Chciały i nie chciały się rozłączyć; ich usta
Uchylały się najsłodziej, by zaraz się zbliżyć
A oczy znieruchomiałe wzajemnie się przenikały...
Długą tak chwilę trzymały się razem
Bez ruchu stojąc pośród przechodniów zajętych
Gdy holowniki huczały po rzece
I mostem żelaznym świszczące sunęły pociągi

III

Między Kordobą a Sewillą
Jest mała stacyjka, gdzie, bez przyczyny widocznej
Zatrzymuje się zawsze Sud-Express.
Próżno podróżny miasta chce szukać oczyma
Co śpi po tamtej stronie maleńkiego dworca
pod eukaliptusami;
Tylko wioskę widać andaluzyjską: zieloną i złotą.
A jednak, z drugiej strony, u skraju
Jest szałas z czarnych gałęzi sklecony i ziemi.
Na głos pociągu dzieciarnia się zjawia w łachmanach
Poprzodem siostra najstarsza ku nasypowi podbiega
I niemym śmiechem rozchylając usta
Tańczy dla chleba.
Stopy jej w pyle wydają się czarne;
I niema piękna w brudnej i ponurej twarzy;
Tańczy, a skroś rozdarcia spódniczki jej popielatej
Drgające widać, nagie, wychudzone uda
I żółty brzuch w przegibach;
I dlatego niektórzy panowie uśmiechają się zawsze szyderczo,
Paląc cygara wonne w restauracyjnym wagonie

## POST - SCRIPTUM

O Boże mój, czy to być nigdy nie może
Bym poznał ową słodką niewiastę z głębi Małorusi,
I te dwie przyjaciółki z Rotterdamu!
I tę żebraczkę młodą z Andaluzji —
I abym złączył się z niemi
Przyjaźnią nierozerwalną?
(Niestety, one czytać tych wierszy nie będą
Nie będą ani imienia mego znały, ani tkliwości mego serca;
A jednak one są, one teraz żyją.)
Czy to być nigdy nie może, aby ta wielka radość ich poznania
Była mi dana?
Bo, nie wiem czemu, ale o Boże mój, tak mi się zdaje,
Że z niemi czterema
Światbym zwyciężył

tłum. WŁODZIMIERZ LEWIK

# PISAĆ I MÓWIĆ

## II. MÓWIĆ

Jedno, niestety, wiadomo: literaci coraz mniej piszą listów. Poprostu żal im każdego słowa powiedzianego nie dla wszystkich. Źle czynią. Ostatecznie listy uważać można za powieść bez początku i końca. Piękniejsze ustępy przepisywać do swej złotej księgi i odpowiednio je zużyć. Zresztą znajdą się zawsze roztropne kobiety, chowające listy przyszłych sław...

Kto umie jeszcze i chce pisać — to Polacy z Legji Cudzoziemskiej. Jak ci mili chłopcy, ukryci nieraz pod przybranemi nazwiskami, ładnie piszą! Jakie ich listy miłe są i świeże!

Dla mnie osobiście list każdy specjalny ma urok.

Przez to właśnie, że jest dla mnie jednej tylko pisany.

Listy są jak zwiędłe kwiaty...

Może to już ostatni makartowski bukiet?

Rozsypie się jak każdy inny.

Et voilà.

Francja jest krajem pióra. We Francji wszystko odbywa się par écrit. Można do Prezydenta Rzeczpospolitej napisać list — a co ważniejsza, zawsze otrzyma się odpowiedź.

W wykształceniu średniem pisanie gra wielką rolę, przy zdawaniu matury przedewszystkiem kładzie się nacisk na dobre wypowiedzenie swych myśli. A raczej cudzych, w ciągu lat szkolnych, nabytych myśli. Niemniej żywe słowo jest w wielkim szacunku, kultywowane są dawne tradycje wymowy. Widocznie nie dość jeszcze, bo słyszy się nawoływanie, aby ustnej odpowiedzi dać pierwszeństwo przed piśmiennem wypracowaniem. Kwestję tę niedawno podniósł profesor Sorbony, Fortunat Strowski. Mówi on, iż uczeń najbardziej przeciętny wobec martwej kartki potrafi jako tako ugrupować nabyte wiadomości i wykorzystać swą — nafaszerowaną wiedzą — pamięć, ale wobec przeciwnika, — bo egzaminator zawsze wydaje mu się przeciwnikiem, — traci rezon, waha się, z błędu brnie w błąd. Pisanie i mówienie są to dwie sztuki różne, wymieniać się nie mogące. To, co jest na miejscu w literach skamieniałe, w głosie traci swą wartość. I przeciwnie. Wielki mówca, ksiądz Kaysiewicz pisanie mowy nazwał „wystygłem natchnieniem".

Jesteśmy dziś za leniwi, za szybko żyć chcemy, dlatego zamiast czytać gazety wolimy czekać aż w kinie przemówi do nas Mussolini dźwiękiem własnego tonu, zamiast szukać opisu zamachu na następcę tronu włoskiego patrzeć nań możemy, na przezroczu, słuchając towarzyszących mu okrzyków tłumu. Skoro powietrze napełnione jest głosami, nie pozostaje nic jak tylko je łapać...

Zatem zwycięży jutro nie książka pisana mozolnie, lecz łatwo i szybko z ust wybiegająca myśl. W walce o życie najwymowniejszą bronią stanie się — coś tak lotnego, jak żywe słowo. Bronią zaczepną i odporną, bez której, my, współcześni, czujemy się na trudnej naszej drodze opuszczeni i samotni. Broń tę udoskonalać musimy, ostrzyć ją i szlifować o wiedzę, pamięć uczynić myślom posłuszną, gimnastyką wymowę ćwiczyć i giętkiem, posłusznem woli narzędziem uczynić nasz język — aby przekonać przeciwnika o nieprawdzie jego, a prawdzie naszych słów.

Tę żywotną kwestję podjął w swej ciekawej książce „Kult żywego słowa" dr Henryk Maryański.* W Polsce więcej niż gdzie indziej jest ona na dobie. W zależności politycznej zagubiliśmy dar wymowy, który zawsze naród nasz cechował, w zwężeniu życia naszego poniechaliśmy kultu żywego słowa. Dziś, gdy znów międzynarodowe wzywa nas forum, winniśmy dawne tradycje wskrzesić, oczywista w innym sposobie i w innych celach. Przyjdzie nam to przy dobrej woli i przy pewnej pracy łatwo, przecież niegdyś kształtną łaciną świat cały zdumiewaliśmy, przecież dar naracji jeszcze tylu starszych ludzi zachowało.

Jedno pamiętać należy — wszystkie rodzaje są dobre prócz rodzaju nudnego. I że niema tematów nudnych — są tylko źli mówcy. O każdej najbardziej zawiłej rzeczy można mówić jasno i zrozumiale, o każdej najnudniejszej tak iż stanie się ona zajmująca.

Bibljoteka Polska w Paryżu szereg swych odczytów zainicjowała odczytem pana Fr. de Jessen o duńskiej ambasadzie w Polsce z początkiem XVIII wieku.

Zdawało mi się że nic nudniejszego nikt nie jest w stanie wymyślić. Nie pamiętam już z jakich względów poszłam na ten odczyt — z pewnością z jakiegoś obowiązku. My, tu w Paryżu niemało mamy różnych bliżej nieokreślonych obowiązków. Dawno nie słyszałam tak świetnego odczytu, dawno na żadnym tak się doskonale nie bawiłam. Duński uczony znalazł pamiętnik swego przodka, któremu wypadło reprezentować swój kraj w naszym kraju za burzliwych czasów, gdy o tron Piastów walczył August II ze Stanisławem Leszczyńskim.

Nie wiem jak pamiętnik ten był pisany, być może iż były to jedynie suche dziennikarskie notatki z podróży, to jednak co prelegent z nich wydobył żywe było, barwne i świetne. To my, słuchacze, pojechaliśmy w olbrzymiej karocy Pana Ambasadora do Sandomierza, to myśmy byli na Woli w czasie Sejmu i słyszeliśmy jaką wysłaniec Północy trzymał mowę do Jego Królewskiej Mości, Augusta Mocnego. Więcej, widzieliśmy tego wspaniałego monarchę, któremu żadna kobieta oprzeć się nie była w stanie...

Pan Jessen wie, może się tego od Francuzów nauczył, iż wolno wesoło i dowcipnie mówić o rzeczach poważnych. A tego nasi mówcy uznać, naogół biorąc, nie chcą.

Dlaczego Polacy, naród z natury wesoły, a dziś przecież mający powody do dobrego humoru, chętnie uderza w ton ponury? Czyżbyśmy nie posiadali daru psychologji, nie dość czuli, że co dobre jest w danej sytuacji, staje się rażące w innej.

Byłam tu kiedyś na obchodzie 25-lecia pracy społecznej pewnego działacza; z przykrością słuchałam jak z kraju przybyła posłanka, rozwodziła się nad jego — z przed dwudziestu pięciu laty — nędzą. Wiele mówiła o kartoflach, któremi musiał się żywić. Wydaje mi się wogóle niegrzecznem zaglądać komuś do garnków, a już w żadnym razie nie wolno przypominać tego nikomu w dzień jego święta. Na jubileuszu znów jednego artysty, polski paryski literat, dobry zresztą mówca, zamiast jakby to uczynił Francuz, nazwać żonę mistrza „femme charmante" i zaśpiewać jej hymn zachwytu, zaczął ubolewać nad jej ciężką dolą. Cierpiętnictwo polskie skończyło się szczęśliwie i poco je przy każdej sposobności przypominać? Przed wojną publiczność rozczulałaby się tego rodzaju pochwałami, a dziś pragnie zupełnie innych.

Z pewnością książka dra Maryańskiego, dająca wskazówki i rady, w wielkiej mierze tego rodzaju brakom zapobieży. Autor, sam świetny mówca, zna dobrze skalę wrażliwości słuchacza i daje pożyteczne uwagi, jak z tej wrażliwości korzystać należy i kiedy w jaką strunę uderzyć.

MALIBRAN (Paryż)

* Kult żywego słowa. O wymowie i rodzajach krasomówstwa. Warszawa, 1929. Nakład Hoesicka.

# WYRAFINOWANA ZŁOŚLIWOŚĆ

VII

ANDRZEJ DO MARTY

Pani Marto —

A więc jest Pani „kobietką".

Rzecz niewątpliwa i już teraz przez nas oboje ujednozgodniona. Przez Panią z triumfalną radością, przeze mnie zgodliwie i uprzejmie przyjęta do wiadomości.

Gdybym był złośliwy — pozostawiam to jednak Pani — pomówiłbym z Nią stylem cenionym przez kobietki. Rezygnuję jednak z tego i wolę mówić w dalszym ciągu swoim własnym stylem.

Pragnę bowiem pokłonić się dzisiaj Pani nisko i pięknie zakończyć korespondencję, którą sam zacząłem, a która, wobec wyznań Pani w Jej ostatnim liście, jużby teraz celu nie miała.

W pokorze przyznaję słuszność wszystkim bystrym uwagom Pani i wstydzę się:

że nie jestem dobrym znawcą dusz;

że nie musi być dla mnie wyrocznią malarz, wielki, koniecznie francuski malarz;

że wolę dzisiejszą kobietę od wczorajszej kobietki, z jej nużącym egotyzmem, z jej migrenami, przyjaciółkami, z jej stylem bogatym w znaki pisarskie zamiast jasnych słów, i z wielu innemi jej wdziękami, cenionemi onegdaj.

Cały sąd Pani o mnie przyjmuję bez zastrzeżeń.

Ponad wszelką wątpliwość jest trafny.

Kobietkom nie wolno sprzeciwiać się w niczem.

O jedną tylko łaskę, poproszę. Pani pozwoli, że rozpatrzymy razem niektóre Jej rozbieżne z mojemi pojęcia. I nietylko z mojemi — pochlebiam sobie.

Nie jest człowiekiem mało uprzejmym ten, kto orjentuje się w czyichś — pewnego rodzaju niedociągnięciach, kogo razi samoubóstwienie, przebijające z każdego niemal wiersza osoby piszącej.

Nie można nazywać patosem lekkiego tonu ironji — bezsprzecznie ironji — czasem ciepłej i dobrotliwej, czasem zaakcentowanej wyraźniej i zimniej.

Gdybym się Pani przypadkiem podobał — słowa Pani — i mówiła Pani ze mną jedynie o mnie i o tem, żem miły i uroczy, nie dałbym Jej do tego powtórnej sposobności. To pewne.

Jeśli przypuszczamy, że jakaś kobieta odpowiada nam pod względem psychicznym i fizycznym, nie jest to zaraz jednoznaczne z zamienianiem osoby żywej w posąg.

Gdy ktoś lubi taki a nie inny typ kobiety, to do poszukiwań jego nie trzeba przyczepiać znanych etykietek o posągach, mumifikacjach, bronzownikach. Nie mają te wielkie słowa nic wspólnego z naszą skromną, prywatną korespondencją.

Imponuje mi elokwencja Pani. Ale to naturalne. Ja: przygodny korespondent, i taka wirtuozka w słownej szermierce, jak Pani. Nic więc dziwnego, że dwugłos zawodzi.

Z każdego zdania listu Pani przebija uraza za mój ostatni, tylko za ostatni, i chęć odwetu. Za każdą złośliwością błyska zadowolony uśmiech: a co, touché?

Wyrażam szczery żal, że wbrew wszelkim zamierzeniom poirytowałem Panią. Nie to było celem mojej korespondencji.

Również nie łudziłem się nigdy, bym już wzbudził w Pani jakąś wybitną sympatję. Zamierzałem ją był przecież dopiero zdobywać. Coprawda, na kruchej podstawie pewnych oznak zainteresowania się mojem istnieniem. Ale nawet wielce łaskawe i obiecujące zakończenie przedostatniego listu Pani nie zdołało wbić mnie w dumę, ani upewnić w czemkolwiek.

Zastanawiam się tylko teraz, z życzliwym uśmiechem, jak to pogodzić tę rozrywkę towarzyską, tę gimnastykę mózgu, tę godzinę sali (nieboszczyk pan Płoszowski, jako znawca dusz kobietek, na pewnoby się nie zastanawiał), którą przedstawiam dla Pani, z owem miłem zakończeniem, o którem powyżej.

Ale któżby psuł sobie chwilowe nastroiki pamiętaniem wyrzeczonych lub napisanych słów. Są to zbędne krępowania i zahamowania, wysoce uprzykrzone i wręcz nieznośne przy gimnastyce mózgu. A gimnastyka znowuż należy do niezbędnych dziś ćwiczeń higjenicznych.

Kobietki często myślą, że się kimś bawią. Lecz nie pamiętają o tak prostej rzeczy, jak ta, że prócz nich samych trzeba do tego i — zabawki. Nie liczą się z tem, że można napierać się czegoś lub kogoś nawet usilnie — i uspokoić się nagle z powodu jednej rzeczy, która zrazi. Stracić zainteresowanie. Tacy my już dziś jesteśmy. Wrażliwi i żądni harmonji całości. Gdy jej zabraknie, bledną najpiękniejsze szczególiki.

I to niech Pani w swoich rozważaniach uwzględni, że bawimy się zazwyczaj tylko tem, co nam się podoba lub co nas ciekawi. Do rzeczy obojętnych, lub wstrętnych, nie wyciągamy rąk; albo ich nie widzimy, albo odwracamy się od nich. Pani zaś nie uczyniła ani jednego, ani drugiego.

Drwi Pani z moich słów o wolności. Robi to Pani celowo, z nawyku wyślizgiwania się z sytuacyj przez siebie samą stworzonych — Pani dobrze wie, o co mi chodziło. I to jest moja satysfakcja.

Zapewne, w tej chwili, jest Pani znowu poirytowana. Piękna cera o barwie kremowej róży zarumieni się lekko, czarne diamenty oczu zalśnią ostro — cóż poradzę na to? Ale obraz będzie piękny i szkoda, że go nie zobaczę.

Dlaczego gniewa Panią stwierdzenie u Niej sentymentalności — nie pojmuję. Wszak obowiązkowo należy ona do cnót kobietki. Przedostatni list Pani — a i w ostatnim są przebłyski — nie pozostawia wątpliwości w tym względzie.

Zanim wrzucę listy Pani — stosownie do ustnej umowy — w objęcia płomieni, czytam je uważnie, z rozkoszą i z żalem. Z rozkoszą — że wogóle istniały, z żalem — że już się skończyły. I widzę w tem rzadkie piękno — pięknego rozstania. Częściej bowiem zdarzają się rozstania brzydkie, szarpiące, niepomne cennych, minionych chwil. A z nami jest przecież inaczej. Ja pamiętam wszystkie radości, które mi poznanie Pani przyniosło, i wdzięcznie je wspominam.

Ale i za coś innego winien jestem Pani głęboką wdzięczność. Zrozumiałem wartość i uroki korespondencji, które tak wnikliwie i entuzjastycznie opisywała mi Pani w pierwszym liście.

Tak więc wszystko, co wynikło dla mnie z poznania Pani, uważam za rzadki dar losu.

Pochylam się do rąk Pani i gorąco dziękuję tej prawej, która trudzić się dla mnie chciała. Wierzę też, że uśmiecha się Pani do mnie w tej chwili wyrozumiale i przyjaźnie.

*Andrzej*

# KASZTELANOWA KAMIEŃSKA

Barbara z Potockich Kossakowska, kasztelanowa kamieńska, jest bezwątpienia najciekawszą postacią kobiecą upadającej Rzeczypospolitej. Niepodobna do żadnej ze znanych kobiet współczesnych. Kobieta współczesna, jeżeli „robiła w polityce” jak pani Barbara, była przedewszystkiem intrygantką, choćby tak szanowną i wykształconą jak Mniszkowa, Brühlówna z domu, „Armida” Konfederacji Barskiej, ale zawsze intrygantką, posługującą się w swej robocie całym urokiem przerafinowanej kulturą wieku kobiecości, pompadurą, częściej pompadurką...

Kossakowska brzydka nie była, ale, jeśli nawet miała swój wdzięk niewieści, to zasłaniała go zachowaniem się zgoła męskiem, rażąco dalekiem od ówczesnej kuśliwej, rozpieszczonej, jedwabistej przymilności berżerek, nieczuła na groty Amora, „*hic mulier*” jak ją nazywano w Polsce. Wprawdzie Repnin w liście do Kreczetnikowa poleca temu generałowi, aby oficerowie rosyjscy „podczas bytności swojej we Lwowie oddawali jej wizyty”, a nadto, żeby „dla jej zabawy” odkomenderował „oficera młodego, przystojnej twarzy i przyzwoitego układu, mówiącego obcemi językami, coby ciągle mieszkając we Lwowie, chodził do niej codzień na obiady i wieczory, zabawiał ją i rozrywał” — ale Repnin kasztelanowej nie rozumiał całkiem, sądząc ją po znanych sobie paniach warszawskich, a oficer ów grzeczny jeśli ją naprawdę zabawiał, to z pewnością nie sztuką kochania, jeśli zaś pani Barbara czem mu zadrasnęła serce, to tym jadowitym niesłychanie ciętym i dowcipnym językiem, który nieraz szczypał boleśnie tak króla Stasia, jak późniejszych gubernatorów galicyjskich i samego najmiłościwiej nam panującego cesarza Austrji.— Z duszą mężczyzny, z temperamentem męskim, zbrojna w ów język srodze kąśliwy i potężną nienawiść do Stanisława Augusta, rzuca się Kossakowska w zamęt tragicznej intrygi radomskiej jako jeden z widomych przywódców gotującej się konfederacji. Jest już wtedy wdową po kasztelanie Kamieńskim, zwanym „Karłem”, człowieczku małym i brzydkim i żadnym, za którego ją wydano a ona mu była wierna, — bo nie potrzebowała miłości. Będąc wolną, nie mając żadnych obowiązków rodzinnych, napełnia sobą pół Polski. Jest wszędzie. Ze swej kwatery głównej we Lwowie czyni wypady w ziemie okoliczne, przeprowadza jedne sejmiki, rozbija drugie, zawiązuje konfederacje lokalne, niczem wojewoda kijowski albo sam Karol Radziwiłł, byle tylko pogrążyć tego nienawistnego króla, co to go wyniosły na tron bagnety moskiewskie i wiwaty rozkosznych dam polskich stolicy. W tej rozpalonej do białego nienawiści do króla należy szukać rozwiązania zagadki Kossakowskiej, tej samej zagadki, z którą spotykamy się przy osobie takiego Seweryna Rzewuskiego, jednego z czterech porwanych przez Repnina dygnitarzy - patrjotów. Tak Rzewuski jak i Kossakowska byli niewątpliwymi patrjotami, jakkolwiek pierwszy przystał potem do Targowicy a druga robiłą w radomszczyźnie przy czynnej i brutalnej pomocy Kreczetnikowa, Karra i Igelströma, tych samych, którzy niedawno „wybierali” królem polskim kochanka Katarzyny, a potem poczęli spiskować przeciw niemu, kiedy pomyślał o zmianie korzystnego dla Rosji ustroju Rzeczypospolitej. Niewątpliwymi patrjotami. Pani Barbara stwierdziła to zarówno zachowaniem się swojem podczas konfederacji barskiej, jak i później pod panowaniem austrjackiem w Galicji. Nienawiść jej do króla tłumaczy się najpierw jej charakterem męskim. Tak jak pani Barbara była mężczyzną w spódnicy, Stanisław August był ze swej strony kobietą w kiulotach. Zawsze gotów do płaczu i omdleń, choćby w sali sejmowej, zakochany w swoich białych rękach, pięknej twarzy i błyskotkach teatralnego stroju, stroniący od wrzawy bitewnej, rozpieszczony i przymilny nawet wobec 70-letniej pani Geoffrin, bez cienia koniecznego ryzykanctwa i krótkiej męskiej decyzji, przesadny w patosie kokieteryjnego słowa, próżny i rozrzutny — mógł zaiste napełniać najwyższym wstrętem, tę, któraby to wszystko nie tylko zniosła, ale może nawet podświadomie ukochała — lecz w d r u g i e j k o b i e c i e, właśnie dlatego, że sama była czemś wręcz przeciwnem. Prócz tego piekło ją do żywego to, co gorącą krwią oburzenia zalewało Potockich w szczególności, a wszystkich przeciwników związanej z królem Familji w ogóle, a mianowicie to przekleństwo polskiej partyjności, że kto ze mną — to Polak prawdziwy i rzetelny patrjota, a kto przeciw mnie to nie Polak i zdrajca. Czartoryscy dorwawszy się z królem władzy, stosowali do przeciwników politycznych metodę wyniszczenia, metodę bezwzględnych rugów, obsadzania wszystkich ważniejszych stanowisk „swoimi” ludźmi, nie cofali się nawet przed usuwaniem ze świata niebezpiecznych dla siebie jednostek, jak to zrobili z wojewodą lubelskim Adamem Tarłą w chytrze pomyślanym pojedynku. — Dość, że tylko w tej atmosferze wzajemnych nienawiści staje się możliwe paradoksalne zjawisko: jakto ci sami, którzy zwalczają króla i Czartoryskich za to, że opierają się o Rosję, szukają w walce z nimi oparcia — o tę samą Rosję!... Byle ich tylko pogrążyć! a jak? obojętne! choćby z djabłem do spółki! Polska wiekowa tragedja, do dziś jeszcze nieskończona... I ta sama Kossakowska, która dla sprawy narodowej będzie wnet umiała poświęcać ogromny swój majątek, ta sama Kossakowska urządza we Lwowie na św. Katarzynę wspaniałe przyjęcie z okazji imienin imperatorowej, niedługo po porwaniu senatorów! Oceniono w Petersburgu „oczekiwaną wesołość” kasztelanowej, bo postanowiono obdarować ją... „tabakierką obsypaną brylantami z cyfrą Jej Cesarskiej Mości, która wkrótce wręczoną jej będzie” (Repnin do Kreczetnikowa).




Otóż to właśnie. Nienawidzimy swoich mocniej niż obcych a wrogich, kocham ojczyznę tę tylko, która leży w mojej głowie, — której prawa spisuje mój własny — nie drugiego! — mózg, a granic broni mój o niej sen, nie wyśniony nigdy... Broni, choćby przeciw własnemu bratu, choćby miało się zawalić wszystko.

KAZIMIERZ BROŃCZYK

# KOBIETY NA GALERACH

REGA — RENATA — MAGNY — GILBERTA — LAURA

Zuzanna Normand, powieściopisarka francuska, nie jest jakimś wielkim, olśniewającym talentem. Nagroda „Feminy", którą otrzymała za swoją powieść p. t.: „Galerniczki", nie jest również jakiemś bardzo wysokiem odznaczeniem literackiem. Pomimo to jednak „Galerniczki" są powieścią bardzo interesującą. Są przedewszystkiem zjawiskiem w literaturze żywem, a wśród zagadnień kobiecych wydarzeniem zupełnie niespodziewanem. I wskutek tego wszystkiego zmuszają do myślenia zarówno mężczyzn, jak i kobiety. Ta opowieść pomimo swej ostrej tendencyjności należy do tego gatunku utworów, które podniecają wyobraźnię osoby czytającej, które wciągają do dyskusji własne przeżycia, obserwacje i doświadczenia. Jest to jedna z tych książek, które czytelnik i czytelniczka wzbogacają własnem tworzywem i które dlatego zostawiają po sobie niezatarty ślad wspomnienia.

Zuzanna Normand znajduje się pod znacznym wpływem Karin Michaelis, owej północnej Walkirji, która walczyła zawsze o samodzielność kobiety, a dla mężczyzn miała tylko pogardę i litość — ale wpływy Karin Michaelis objawiają się u powieściopisarki francuskiej raczej w fakturze i sposobie opowiadania, natomiast idea „Galerniczek" przeciwstawia się zuchwale bojowym hasłom duńskiej autorki.

Poglądy, które wypowiada w swojej książce Zuzanna Normand, mają w dobie współczesnej posmak sensacyjnej nowości. Jeśli jednak zanalizujemy je dokładnie, przekonamy się, że jest to właściwie powrót do dawnej formy życia, którą tak bardzo pogardzano wówczas, kiedy Ibsen napisał swoją „Norę".

Kobieta, która porzuciła domek lalki i swoją niewolę, kobieta, która się wyswobodziła — zebrała potem tyle gorzkich doświadczeń, przesyciła swą duszę tak bezmiernem niezadowoleniem, że nie pozostaje jej nic innego, jak wrócić do znienawidzonej niegdyś pozycji, zasiąść znowu przy ognisku domowem, stać się żoną i tylko żoną — cierpliwą, uległą, wyrozumiałą... Poprostu porzucić wszystkie dumne rojenia o swojej niezawisłości i wziąć się czem prędzej do przyszywania tych wszystkich guzików, które zdążyły się poodrywać podczas jej nieobecności...

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Zuzanna Normand opowiada o losach pięciu galerniczek. Wszystkie one rozpoczynały niegdyś życie rozkochane w niezależności, upojone wyzwoleniem. Dwom z nich jednak życie narzuciło szybko rolę tragiczną.

Renata jest z nich wszystkich istotą najbardziej tajemniczą i zagadkową. Można tylko przypuszczać, że przeżyła jakieś wielkie rozczarowanie, jakiś dramat miłosny, który zostawił po sobie epilog pełen znużenia i monotonności. Renata jest z nich wszystkich najbardziej nieprzejednana, albowiem Renata jest beznadziejna. Nie wierzy ani w siebie, ani w życie. Jest jednocześnie bardzo oschła i bardzo wrażliwa. Nigdy nie czuła się młodą, zawsze szukała odosobnienia „za murem obojętności, milczenia i nieustannych wewnętrznych analiz". Jest z zawodu nauczycielką gimnazjalną, ale kiedy mężczyźni wrócili z wojny, musiała zadowolić się gorszą posadą w szkole prywatnej.

Gilbercie małżeństwo przyniosło najwyższe szczęście i najwyższe nieszczęście, albowiem „wojna porywając jej męża, zabrała ognisko domowe i kochanka i towarzysza i wszystko, czego nikt nigdy nie będzie mógł jej zastąpić. Beznadziejna sytuacja zmusiła ją do pracy. Znalazła zajęcie u jednego z wydawców i niebawem wykazała wybitne zdolności. Wydawca ceni ją, albowiem jest inteligentna, stanowcza i pracowita, a przytem płaci się jej o połowę mniej, niż mężczyźnie.

Trzecia zkolei galerniczka to Magny. Jest najlepiej sytuowana, pobiera bowiem aż 1.200 franków miesięcznie. Wybiła się w bankowości i została sekretarką pewnego dyrektora banku. Rozporządza jego podpisem, bierze udział w posiedzeniach i każe czekać na siebie wierzycielom. Dyrektor oczarowany jej inicjatywą i energją, oraz maleńką figurką, zgrabną niby posążek, stał się jej kochankiem. Wobec tego sądzi, że życie jej zostało ustalone na zawsze, gdyż miłość i praca splotły się w cudowną całość.

Laura marzyła zawsze o pracy literackiej, ale warunki przykuły ją do taczki dziennikarskiej. Wskutek tego posiada wprawdzie pewną niezależność, ale mało zadowolenia osobistego. Pracując w dzienniku sensacyjnym i popularnym, musi przystosowywać się do poziomu szerokich mas, deptać własne ambicje i upodobania.

— Pani nie pisze dla „Figara" — upomina ją nieustannie kierownik działu informacyjnego.

Zczasem Laura zostaje zepchnięta do najpospolitszej pracy reporterskiej. Jedyną osłodą jej życia jest kochanek, człowiek żonaty.

Główną postacią w „Galerniczkach" jest Rega. Rega, która rozwiodła się i wyzwoliła, ale której sytuacja od początku niejasna prowokuje wypadki najbardziej zastanawiające. Rega wegetuje pod każdym względem. Żyje z zarobków przypadkowych i sprzedaży klejnotów. Ponieważ zakosztowała już wszystkich rozkoszy dostatku i wyraźnej pozycji towarzyskiej, czuje się z nich wszystkich najbardziej upośledzona.

To życie na poziomie trzeciej klasy, życie pozbawione wdzięku i ładu prześladuje ją jak najstraszliwsza zmora.

Kobiety wyzwolone, przytem uczciwe, a więc biedne, ukrywają swoje bytowanie w mieszkaniach straszliwych, wynajętych poprostu z łaski.

„Nigdzie bowiem nie lubią kobiet. Nawet nie z obawy przed złem prowadzeniem. Tylko kobieta poprostu nie jest z niczego zadowolona. Woda dla niej nigdy nie jest dość ciepła, a piec zawsze zimny. Kobieta pitrasi na maszynce spirytusowej, grzeje rurki do karbowania, chlapie się cały dzień, szyje, kraje, śmieci gałgankami. Sens moralny: nie wynajmować kobietom!"

I dlatego kobiety wyzwolone mieszkają przeważnie w brudnych, podrzędnych hotelikach, gdzie na każdym kroku czyha niesmak i wstręt sięgający do gardła. W takich mieszkaniach jada się także brudno i bylejak — jada się po cygańsku: bez obrusa, na tacy albo na kufrze. Jest to jednak zawsze lepsze, jak śniadania i obiady spożywane w taniej garkuchni...

Tak wygląda codzienne bytowanie kobiet wyzwolonych.

Są ubogie, albowiem mężczyźni wyzyskują je albo wypierają z lepszych stanowisk. W szarzyźnie pracy, mieszkania i jedzenia niema miejsca na żaden jaśniejszy promień. Cóżby ją zresztą mogło rozświetlić jaśniejszym blaskiem. Chyba jedna miłość, miłość szczęśliwa, która może zamienić najbiedniejsze poddasze na pałac najwspanialszy.

I dlatego kobiety wyzwolone mają kochanków. Ale ponieważ są wyzwolone, kochankowie nie mogą w żaden sposób zagrażać ich wolności osobistej. A więc są to ludzie żonaci, ludzie, którzy poza obowiązkami domowemi szukają rozkosznych przygód.

Z początku przedstawia się to bardzo romantycznie.

W Redze kocha się mąż jej przyjaciółki malarz Fryderyk Lieuvain. Ten artysta dumny i gardzący sławą,

ten mężczyzna o urodzie melancholijnej zdobywa ją dość szybko. Rega pokonuje wyrzuty sumienia i wyciąga ręce do miłości, do szczęścia.

Wreszcie kochankowie naznaczają sobie pierwszą schadzkę.

Spotykają się w ogrodzie publicznym u stóp posągu. Rega przychodzi podniecona rozkosznie i kiedy zjawia się Fryderyk, śpieszy ku niemu z uśmiechem jasnym i pełnym ufności. Ale Fryderyk boi się, żeby ich kto nie zobaczył. Jest nienaturalny, wymuszony, cedzi banalne formułki, okazuje tchórzostwo i bezradność.

„Nagle rzekł:

— Chodź ze mną!

— Dokąd?

Nalegał, błagał oczyma. Wstał i uśmiechając się z przymusem pociągnął Regę.

Zrozumiała, gdzie ją prowadzi... Szedł nieśpiesznie, ostrożnie, udając krok roztargnionego spacerowicza. Aby nikt, broń Boże, spotkawszy ich nie miał wątpliwości.

Bolesny prawie, gwałtowny protest targał sercem Regi.

Przed oczyma jej stanął obraz Freda w pracowni, śród płócien i książek, gdzie elegancki strój domowy swą miękką wytwornością podkreślał jego niebywały romantyczny wdzięk... Czy to ten sam człowiek prowadził ją, udając spacer, z rękami w kieszeni — do hotelu?

Gdy przybyli, obejrzał się wkoło i popchnął ją lekko ku przodowi:

— Prędzej, dziecko!

Chciała się cofnąć — jakaś siła odrzuciła ją wtył, lecz za nią wszedł już Fred. Numerowy ruszył im na spotkanie, musieli odcierpieć przepisaną ilość niedyskretnych pytań. Mężczyźni szeptali między sobą. Rega mimowoli słyszała ich słowa:

— Pokój... frontowy... na pierwszem piętrze? Nie, proszę pana, mamy tylko jeden wolny, na trzeciem piętrze, za dwadzieścia franków.

Rega szła po schodach, trzymając się kurczowo poręczy, dręczona niewypowiedzianym wstydem. Czy ta groteskowa wędrówka nie skończy się nigdy?

Nareszcie numerowy przystanął. Poły białego fartucha zatrzepotały przed oczyma Regi. Spostrzegła jeszcze kamizelę w czerwone i czarne prążki. Później ręka uzbrojona w klucz, otworzyła drzwi od pokoju i Rega ujrzała łóżko. Właściwie mówiąc, łóżko poprostu rzucało się w oczy. Wypełniało sobą cały pokój. Szerokie bezwstydne, obrażające. Trudno było żywić jakiekolwiek wątpliwości... Kto przychodził do podobnego pokoju, przychodził w określonym celu..."

— Wolna miłość! — woła jedna z galerniczek. — Żadna miłość nie jest narażona na tyle ograniczeń, na tyle ofiar... Dwie godziny na tydzień w najokropniejszych warunkach, z nieustannem spoglądaniem na zegarek, aby broń Boże nie zapomnieć o tem, że żona dziś przyjmuje gości u siebie, albo że należy z nią iść na zamówioną wizytę.

I wkońcu w tej grze wśród trojga żona zwycięża...

Pewnego dnia następuje zerwanie i na zakończenie ostatniej rozmowy padają słowa bezlitosne:

— Nie mogę powiedzieć, że nie kocham mojej żony...

W ten sposób tracą swoich przyjaciół Laura i Maguy. Rega zaś zrywa z Fredem na skutek rozczarowania, które jej zgotował. Ale samotność jest dla nich wszystkich równie bolesna. Przytem zewsząd nadciągają chmury niepowodzeń. Laura i Maguy tracą posady, doznają wszystkich udręczeń niepowodzenia, wszystkich podłości zimnego świata. Zaczyna się życie na galerach.

W tej sytuacji tylko jedna Rega odnajduje tak zwany „zdrowy rozsądek". Jest to zarówno dzieło przypadku, jak i jej wewnętrznych nastrojów.

Na drodze jej życia staje pan Deferney, podstarzały rentjer, który szuka partnerki do swojego czterdziestokonnego samochodu i wspaniałych apartamentów. Po dłuższem wahaniu Rega godzi się na tę propozycję i żegnając się z przyjaciółkami wygłasza namiętną filipikę na rzecz małżeństwa, małżeństwa za wszelką cenę — małżeństwa jako ucieczki przed tą chwilą, kiedy „poczucie niepewności przejmie mnie grozą, myśl o zależności od pracy i od własnego zdrowia, wyda mi się przerażającą."

Zresztą „małżeństwo jest najlepsze z tego, co wymyślili ludzie, którzy chcą być razem".

Tak wygląda według nowoczesnej pisarki francuskiej życie kobiety wyzwolonej, takie są jej doświadczenia i taki sens moralny przez udrękę i cierpienia zdobywa.

Zapewne jest tu trochę przesady, ale jest i wiele prawdy zaczerpniętej bezpośrednio z życia.

Bądź co bądź mamy przed sobą zagadnienie zasługujące na rozstrzygnięcie i rzetelną dyskusję.

STANISŁAW DZIKOWSKI

MAY SINCLAIR

# ANNA SEVERN I FIELDINGOWIE

Z ang. przełożył Czesław Jastrzębiec-Kozłowski — Powieść, 12 — 

Tak tedy ta właśnie rzecz, o której wspomnienia Jerrold nie mógł znieść, jeszcze bardziej zbliżyła Eliota do Anny. Widział ją jak ją widział Jerrold, poruszającą się poważnie i umiejętnie w sypialni ojca; widział ją pochyloną nad chorym pomocnie, widział plamki krwi na białym jej rękawie: i myślał o niej z tem większą tkliwością. Od tej chwili pokochał ją prawdziwie. Pragnął jej, jak nigdy nie przypuszczał, że będzie pragnął kobiety. Z trudem przypominał sobie swe pierwsze uczucia wyrostka dla niej, tę mglistą mieszaninę bezwiednej żądzy i lęku — tak dalece było ono niepodobne do mocnej, wyraźnej namiętności, co nim teraz owładnęła. W nocy, po skończonej pracy, leżał w łóżku nie śpiąc, dumając o Annie z pożądaniem, zbyt dobrze znającem siebie samo by się lękać. Anna była tem jedynem, czego potrzebował poza swą pracą, czego potrzebował jakby części własnej żywej istoty. Dlatego tylko nie stała przed jego pracą, że jego praca stała dlań przed nim samym i przed jego szczęściem. Gdy co drugi tydzień jechał na week-end do Wyck-na-Wzgórzu, uświadamiał sobie, że czyni to dla zobaczenia się z Anną.

Matka wiedziała to również.

— Chciałabym, by się Eliot ożenił — rzekła.

— Czemu? — spytała Anna.

— Bo wówczas nie rwałby się tak mocno do badania zarazków w jakichś zaprzepaszczonych krajach.

Anna pytała siebie w duchu, czy Adelina zna Eliota. Gdyż Eliot mówił jej o swej pracy, idąc przy niej zwinnym, szybkim krokiem przez pola, starając się wyzyskać wolny czas i świeże powietrze. Oto, co mu się jeszcze podobało w Annie Severn — ta jej przepyszna cielesna sprawność. Potrafiła z nim chodzić z przechadzki na przechadzkę, mile a mile, nigdy się nie męcząc. Jej umysł również był mocny i czynny i pełen ciekawości: słuchała całemi godzinami bez znu-

żenia. Myśl jej umiała się poruszać odważnie wśród rzeczy przeraźliwych. Umiała, jak i on, dostrzec „piękno” długich wysiłków i badań, zapomocą których Sir Martin Crozier wytropił bakcyla amebicznej dyzenterji i ustalił różnicę pomiędzy tyfusem a febrą maltańską.

Dosiadłszy raz swego konika, poważny, posępny Eliot prawił z zapałem:

— Ty Aniu widzisz, jakie to porywające, co? Dla mnie nic niema poza bakterjologją. Zawsze pragnąłem oddać się temu, a Sir Martin jest wspaniały. Literalnie wspaniały. Bo uważasz, tym wszystkim wstrętnym chorobom można zapobiec. Jest nie do pojęcia, że się je toleruje w kraju cywilizowanym. Ludzie chyba nie dbają ani krztę, inaczej nie mogliby spać nocami. Powinniby się wzburzyć i uczynić skandal publiczny, nalegając na przymusowe dla wszystkich szczepienie, czy kto życzy sobie tego czy nie życzy. To doprawdy nie wystarcza, leczyć ludzi gdy już zachorowali. Powinnibyśmy dopilnować, by nie zapadano na te choroby, by tych chorób wogóle już nie było... Czego jeszcze nie znamy wszechstronnie, to ustosunkowania się bakteryj do siebie nawzajem. Złośliwy bakcyl może być pożyteczny przez zaszachowanie jeszcze złośliwszego. Można sobie wyobrazić, że gdyby się nam udało wytępić wszystkie znane choroby, tem samem spuścilibyśmy ze smyczy jakąś chorobę nieznaną a najstraszliwszą ze wszystkich, któraby wytępiła rodzaj ludzki.

— Och, Eliocie, co za potworność. Jakże ty możesz spać nocami?

— Nie obawiaj się. To tylko taka zmorna igraszka myśli.

I tak dalej i tak dalej, gdyż był jeszcze tak młody, że pragnął, by się podniecała tem samem, czem on się podniecał. Anna zaś opowiadała mu wszystko o swej Ilfordzkiej fermie i o tem, czego chce tam dokonać. Eliot nie zachowywał się jak ciocia Adelina: słuchał przepięknie, wzorem wuja Roberta i Jerrolda, jakby istotnie nie było nic ważniejszego nad posiadanie folwarku i pracy na nim.

— Chciałabym sprzedać tę fermę i osiedlić się tutaj. Nigdzie indziej nie jest mi dobrze. Nie zdołam ci wypowiedzieć, jak strasznie tęsknię, gdy wyjadę. Wciąż widzę te wieżyczki z małemi kamiennemi kulami i pawie i pola dokoła Manor Farm. I wzgórza, Eliocie. Gdy wyjadę, śni mi się zawsze, że usiłuję tu wrócić, a coś mi przeszkadza. Lub widzę te wzgórza, a one się przedzierzgają w coś innego. Nie będę szczęśliwa, aż wrócę tutaj nadobre.

— Nie pragniesz jechać do Indyj? — Serce Eliota poczęło bić gwałtownie, gdy zadał to pytanie.

— Pragnę pracować, ciężko pracować. Pracować póty, aż się zmęczę tak śmiertelnie, że zasnę skoro tylko przytknę głowę do poduszki. Aż się zmęczę tak, że nic mi się śnić nie będzie.

— To niedobrze. Za młodaś, by czuć w ten sposób, Aniu.

— W ten sposób czuję. I ty także. Moja ferma jest tem dla mnie, czem dla ciebie twe bakterje.

— O, gdybym wiedział, że chodzi tylko o fermę...

— A o cóż innego?

Eliot nie mógł się zmusić do odpowiedzi. Uciekł się do zmiany tematu.

— Wszak wiesz, że dwór w Manor Farm ojciec zapisał mnie, nieprawdaż?

— Nie, nie wiedziałam. Widocznie przypuszczał, że i ty, jak ja, zatęsknisz kiedyś do tych stron.

— W każdym razie cieszę się z tego. Mama posiada Dower House we Wyck. Ale pozostanie tutaj dokąd — —

— Dokąd Jerrold powróci — rzekła Ania mężnie.

— Zapewne i wtedy Jerry jej nie usunie. Chyba że...

Lecz ani on ani Anna nie mieli odwagi powiedzieć: „Chyba, że się ożeni”.

Ani Anna, gdyż nie mogła sobie zaufać przy rozmowie o Jerroldowym ożenku. Ani Eliot, posiadał bowiem słowo Jerrolda na to, że jeśli się z kim — kiedykolwiek — ożeni, to nie z Anną.

3.

Ta właśnie pewność umożliwiła mu wypowiedzenie tego, o czego powiedzeniu myślał przez cały czas rozmowy z Anną o bakterjologji. Bakterjologja stanowiła kotarę, poza którą Eliot, niepewien Aninych uczuć, krył się przed klęską nieodwołalną. Pragnął prosić ją o rękę, lecz ustawicznie to odkładał, ponieważ tak długo, dokąd nie wiedział z pewnością, że Anna go nie chce, mógł sobie wyobrażać, że przyjmie jego oświadczyny. Jerroldowi nie byłby jej odbierał. Ale Jerrold, niewiarogodny osioł, sam jej nie chciał. Eliot upewnił się o tem przed miesiącami, w przeddzień Jerroldowego odjazdu. Zapytał go wręcz, jak zamierza postąpić w stosunku do Anny Severn? Jerrold zaś wyjaśnił mu niedwuznacznie, iż głównym celem jego wyjazdu do Indyj jest chęć ucieczki od Anny Severn i od wszystkiego. Zbyt dobrze zdał Jerrolda, by wątpić o jego szczerości, to też uważał, iż droga jest dlań obecnie godziwie otwarta.

Jedyną jego niepewność stanowiła samaż Anna. Zrazu chciał jej dać rok czasu do zapomnienia Jerrolda, jeśli wogóle miała go kiedykolwiek zapomnieć; jednak w chwilach głębszej przenikliwości uświadomił sobie, jak małe jest prawdopodobieństwo, by Anna zapomniała, lub by wyszła za kogo innego, dopokąd pamięta.

Aliści — rozumował Eliot — kobiety nieraz wychodzą zamąż, nawet pamiętając. Wychodzą zamąż i są szczęśliwe. Widzi się to codziennie. Zgadzał się poślubić Annę na jakich ona zechce warunkach, a na własne ryzyko i za wszelką cenę. Ryzyka nigdy się nie obawiał, gdy zaś pomyślał o możliwości jej odmowy, wszelkie inne niebezpieczeństwa wydawały mu się błahemi.

Rok — to długi czas, Eliot zaś musiał pamiętać o ewentualnej podróży z Sir Martinem Crozierem do Afryki Środkowej celem badania śpiączki. Chciał, by się sprawa tak czy owak zdecydowała przed jego wyjazdem.

Jeszcze raz odłożył to do następnej soboty. W międzyczasie zaś Sir Martin Crozier rozmówił się z nim. Wyrusza na wiosnę i Eliot ma mu towarzyszyć.

Wszczął z nią rozmowę w niedzielę wieczór, usiadłszy przy niej pod bukami na końcu polanki, gdzie kiedyś siedziała we dwoje z Jerroldem. Eliot obrał miejsce niefortunnie.

— Nie nudziłbym cię tak prędko, gdyby nie mój wyjazd; ale muszę... poprostu muszę wiedzieć...

— Co musisz wiedzieć?

— Czy mię naogół lubisz. Niekoniecznie b a r d z o, oczywiście, lecz w sam raz tyle, by wyjść za mnie bez wstrętu.

Obróciła twarz i spojrzała mu prosto w oczy swym niewinnym otwartym wzrokiem. I powiedziała tylko:

— W i e s z o Jerroldzie, prawda?

— O mój Boże, tak. Wiem o nim wszystko.

— Jerrold jest przyczyną mej odmowy.

— Powiadam ci, że wiem o nim wszystko. Nie jest on przyczyną wystarczającą.

— Dla mnie jest.

— Chyba że... — Lecz nie mógł tego wypowiedzieć.

— Chyba że on mię lubi. Oto więc dlaczego prosisz o moją rękę, gdyż wiesz, że Jerrold o mnie nie dba.

— Nacóżby się przydało, gdybym tego nie wiedział?

— Eliocie, to bardzo źle, że mówię o tem w taki

sposób, jakby mię Jerrold zapewnił o swej miłości. Nie powiedział mi nigdy ani słowa. I nigdy nie powie.

— Obawiam się, Aniu, że masz słuszność.

— Nie wyobrażaj sobie, że się czegoś spodziewam. Nigdy nic nie uczynił takiego, bym choć przez chwilę miała nadzieję, doprawdy.

— Czy na pewno?

— Zupełnie. Wszystko to uroiłam sobie w swej głupiutkiej głowie. Myśl sobie o mnie co chcesz, bylebyś nie sądził, że to wina Jerrolda. Lubiłabym go zawsze, choćby nie wiem co uczynił czy nie uczynił.

— Ja wiem. Ale jest możliwe...

— Lubić dwu mężczyzn i wyjść za jednego z nich — obojętne, za którego? Nie jest to możliwe dla mnie. Skoro nie mogę mieć tego, o którego mi chodzi, nie chcę nikogo.

— To nie jest mądre, Aniu. Wierz mi, iż potrafiłbym stać ci się miłym. Wiem o tobie wszystko. Wiem co czujesz i jak myślisz. Pojmuję cię lepiej niż Jerrold. Byłabyś ze mną szczęśliwa i bezpieczna.

— Trudno. Wolałabym być nieszczęśliwą i zagrożoną przy boku Jerrolda.

— Będziesz nieszczęśliwą i zagrożoną, a przytem bez niego.

— Mniejsza o to. Zresztą tak nie będzie. Będę pracowała. Ty również. Praca tak cię pochłonie, że niebawem zapomnisz o mnie docna.

— Sama w to nie wierzysz. I nigdy nie zrzeknę się ciebie, chyba, że zostaniesz żoną Jerrolda.

— Eliocie, dlatego tylko powiedziałam ci o Jerroldzie, iż sądziłam, że musisz o tem wiedzieć. Żebyś nie myślał, że to w tobie coś mi się nie podoba.

— A więc to nie we mnie? Słuchaj: gdyby nie Jerry, jak sądzisz? czy mogłabyś mię kochać?

— Owszem. Bardzo to możliwe. I sądzę, że i teraz byłoby to bardzo dla mnie dobre. Cóż kiedy nie mogę. Nie mogę.

— Biedna malutka Anna.

— Czy ci to jest pociechą, że mogłabym cię kochać, gdyby nie Jerry?

— Tak jest, wielką pociechą.

— Eliocie, jesteś jedyną osobą, z którą mogę o nim mówić. Może zechcesz mi powiedzieć, czy to on ci mówił, czyś sam się domyślił.

— O czem?

— Hm, że on nigdy...

— Zapytałem go, bo musiałem wiedzieć. On mi to rzekł.

— Tak myślałam.

— Właśnie. Powiedział mi. Ale jestem niegodziwcem, jeżelim ci dał do zrozumienia, że Jerry cię nie kocha. Sądzę, że cię kochał i że pragnąłby... ogromnie. Gdyby ojciec nie umarł akurat wtedy. Twoja obecność w owym dniu zraniła go. Gdyby nie to...

— Tak, ale to było. To mi przypomina, jak Jerrold nie mógł znieść Yearpa, gdy umierał mój królik. Pamiętasz, jak mi nie pozwolił towarzyszyć Yearpowi, mówiąc, że nie chce bym się w to wdawała. No — a teraz wdałam się, oto wszystko.

— Jednakże, Aniu, jestem pewien (o ile sprawia ci to pociechę), że Jerry byłby pragnął... Nie wysnułaś tego wszystkiego z własnej kochanej główki. Myśmy wszyscy tak myśleli. Ojciec również. Sądzę, że chciał tego. Gdybyż tylko wiedział...

Pomyślała: Gdybyż tylko wiedział, jak ją skrzywdził, on, który nigdy nie skrzywdził nikogo w swem pięknem życiu.

— Drogi wuj Robert... Ale niema o czem mówić. Domyśliłam się wszystkiego w chwili, gdy Jerrold oświadczył, że nie chce bym mu towarzyszyła do Indyj.

— Czy dlatego zostałaś?

— Tak.

— Był to błąd, Aniu. Trzeba było jechać.

— Jakżeż mogłam, po tem? Zresztą gdybym pojechała, onby się odsunął i tyle.

— Trzeba było puścić go pierwszego, a samej jechać później. Trzeba było odwiedzić go niespodzianie, w ślicznym stroju, wyglądając najładniej i najweselej. Tak, by zatrzeć wspomnienie, które go straszy. Teraz zaś zostawiłaś mu tamto jedyne wspomnienie.

— Masz zapewne rację. Lecz jest za późno. Już tego nie odrobię.

— Kto wie.

— Co, jechać za Jerroldem? Ścigać go tam? Stroić się i spiskować, by go zmusić do małżeństwa ze sobą?

— Tak. Tak. Tak.

— Eliocie, sam wiesz, że to niepodobieństwo.

— Mówiłaś kiedyś, że dopuściłabyś się nawet zbrodni, gdyby chodziło o kochanego człowieka.

— Zbrodni tak. Lecz nie tego. Umarłabym raczej.

— Zbyt jesteś drażliwa. Jedynie ludzie bez skrupułów osiągają coś na tym świecie. Wiedzą, czego chcą, i walczą o to. Tratują wszystko i wszystkich, co im stają wpoprzek.

— Och, mój miły Eliocie, wiem czego chcę i walczyłabym o to. Gdyby tylko Jerrold wiedział również.

— Wiedziałby, skorobyś mu pokazała.

— A tego właśnie niezdolnam uczynić.

— W każdym razie nie mów, żem ci nie służył najlepszą możliwie radą i to ze szkodą dla własnych widoków.

— Jesteś poczciwy. Rozumiesz jednak całą niemożliwość tego.

— Rozumiem, że jesteś przecudna. Zawsze nią byłaś.

4.

Po raz pierwszy w życiu Adelina była wściekła.

Spytała Eliota, czy ma czy też nie ma się żenić z Anną Severn, i dostała odpowiedź, że tego popołudnia prosił ją o rękę, ale został odrzucony.

— Odrzuciła cię? Co jej się stało?

— Niech ją mama zapyta — rzekł Eliot, ani przypuszczając, że to uczyni.

Jednak Adelina uczyniła to. Udała się tego wieczora do pokoju Anny w chwili, gdy ta się kładła do łóżka. Nie rozbrojona bezbronną postawą dziewczyny, przypuściła gwałtowny atak.

— Co to wszystko znaczy, te oświadczyny Eliota?

Anna podniosła się i usiadła na brzeżku łóżka.

— Powiedział cioci?

— No tak. Ma się rozumieć. Powiada, żeś go odrzuciła. Czy naprawdę?

— Niestety, tak.

— W takim razie, Aniu, jesteś najgłupszą gąską.

— Kiedy ja go, ciotuniu, nie kocham.

— Brednie. Kochasz go akurat tak samo, jak się przeważnie kocha tych, za których się wychodzi. Eliot jest rozsądny; nie żąda bynajmniej, byś za nim szalała.

— Żąda więcej, niż mu dać mogę.

— No, tylko tyle powiem, że skoro nie możesz mu dać czego żąda, nie należało wałęsać się z nim całemi dniami.

— Wałęsałam się z nim całe życie i ani mi się śniło, by zechciał się ze mną żenić.

— A cóżeś myślała?

— Nic; że mu przyjemnie przechadzać się ze mną i już.

— Jesteś głupia.

— Nie pojmuję, czego się ciocia tak gniewa.

— Adelina usiadła w fotelu w głowach łóżka, gotując się do „rozprawy” z Anną. (C. d. n.)

# MARKIEWICZ

Kiedy poranne dzienniki przyniosły niedawno żałobną wieść o wymordowaniu przez marokańskich dysydentów z Tafilatet na pograniczu Algierji oddziału Legji Cudzoziemskiej, który wpadł w zasadzkę, serce ścisnęło się bolesnem przeczuciem:

— Tam byli na pewno Polacy...

I oczy szukały z lękiem polskich nazwisk w depeszach i artykułach zatytułowanych wielkiemi literami: „Krwawa bitwa pod Dżihani".

— — — — — — — — — — — — —

Z sześćdziesięciu ocalało ich tylko dwóch, ciężko, niemal śmiertelnie rannych. Nie zdążyli ich dobić słynni ze swego straszliwego okrucieństwa Berberzy Ben Kassem N'gadi, ci sami, którzy rok temu tu, w Algierji, na tem samem pograniczu Marokka, ukryci wśród dzikich, nagich skał, zamordowali generała Clavery, kilku oficerów i eskortę.

Ocalało ich tylko dwóch — kapral Kitzinger, Niemiec, z 1. pułku Legji Cudzoziemskiej, i Polak, Markiewicz. Zaalarmowany o zasadzce przez patrolujące samoloty pobliski posterunek Legji udał się śpiesznie na odsiecz na mułach i w krwawym wąwozie Dżihani stoczył zaciekłą bitwę, by wydrzeć śmierci tych dwóch — Polaka Markiewicza i Niemca Kitzingera. Przewieziono ich samolotem sanitarnym do Oranu i tu operowano, choć lekarze nie mieli nadziei, że uda się ich uratować.

I z bijącem sercem czekało się na wyrok przez słuchawkę telefonu:

— Doktorze, czy żyje jeszcze Markiewicz?

— Jeszcze żyje. Ciężka była operacja, dokonana na Markiewiczu. Bez narkozy. Postrzał niemal śmiertelny w okolicę nerek. Kitzinger miał mózg przeszyty kulą i jeszcze jeden postrzał w głowę.

— Ale Markiewicz... Doktorze, czy Markiewicz będzie żył?

— Niewiadomo.

Ręka ze słuchawką opada powoli i bezsilnie. „Niewiadomo". I niewymownie bolesna myśl snuje się w mózgu uparcie i natrętnie:

— Ach, gdyby przed śmiercią usłyszał jeszcze czyjeś litościwe, polskie słowo... I gdyby miał maleńki obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej...

— — — — — — — — — — — — —

Modremi, jak kwiat lnu oczami patrzył przez otwarte okno na grudniowe róże, kwitnące w gorącem słońcu, i na ciemno-błękitne morze, promieniejące jak klejnot bezcenny za gąszczem palm, eukaliptusów i drzew kauczukowych szpitalnego ogrodu.

Leżał cichy, szary, jakby posypany popiołem i cierpiał w niemem męczeństwie, bo dawki morfiny były rzadkie, a ból straszliwy.

I patrząc na to obce morze pałające, jak słońcem prześwietlony, olbrzymi szafir, na te obce strzeliste palmy i róże kwitnące w grudniu, — kiedy tam, w Polsce, może już leży śnieg, — czekał cicho i cierpliwie na śmierć, na płytki, biedny żołnierski grób w tej obcej, afrykańskiej ziemi, na prostą, z białych desek pośpiesznie skleconą trumnę, przykrytą trójbarwnym sztandarem, trumnę, której nie pokropi święconą wodą polski ksiądz, na którą nie upadnie ani jedna grudka szarej polskiej ziemi...

Ale śmierć nie przyszła.

I oto któregoś dnia w ciszy szpitalnych sal rozległ się łoskot licznych kroków, zadźwięczały szable i ostrogi. To generał Rondeney, delegowany przez ministra wojny, przyszedł w licznej asyście, by w imieniu Francji podziękować tym dwom walczącym pod jej sztandarami cudzoziemskim bohaterom z pod Dżihani za krew przelaną w jej obronie.

I szary, jakby posypany popiołem Markiewicz patrzył, jak na piersi Niemca Kitzingera zajaśniał przypięty order — *la medaille militaire,* — który dostają tylko śmiertelnie ranni na polach bitew, lub konający z ran na szpitalnych łóżkach.

— *Caporal chef Kitzinger, au nom du Président de la République* — brzmiały uroczyste słowa nad nieruchomą, obandażowaną głową Niemca.

I gdy generał stanął nad łóżkiem Markiewicza, gdy chwalił go za „wspaniałą brawurę" i „godne naśladowania bohaterstwo", Markiewicz zamknął oczy i uśmiechał się blado i cierpliwie znużonym, trochę gorzkim uśmiechem. Markiewicz nie dostał orderu. Dostał awans — na żołnierza pierwszej klasy.

A na zżartych pożarem słońca skałach Dżihani zaschła już duża, czerwona płachta. Krew Markiewicza przelana za Francję.

— — — — — — — — — — — — —

Ze szpitala odesłano go do domu dla rekonwalescentów.

Idzie się tam cichemi ulicami dalekiego przedmieścia. Z za żelaznych ogrodzeń błyszczą w gorącem słońcu drzewa obciążone pomarańczami i cytrynami. Z tarasów will o płaskich dachach spływają aż na ulicę pachnące kaskady róż i pelargonij. Mandarynki z miękkim, sennym łoskotem opadają z drzew na strzyżoną murawę cichych, pustych ogrodów. Tu i tam z za białego muru strzela w szafirowe niebo żałobny, przecudny cyprys, misterna sylwetka araukarji, palmy kokosowej, czy koronkowy parasol pinji wysokopiennej.

Daleko zostało brudne, wrzaskliwe, spalone żądzą pieniądza, zgniłe z rozpusty miasto, czarne dymy portu, rzadkie minarety białych meczetów, posępnie cichych, fanatycznie wmodlonych we własną tajemnicę, przytłoczonych ogromem i brzydotą dziesięciopiętrowych Palace-Hotel'i.

Przesycony wonią mięty i heljotropu wiatr niesie od morza słony jego posmak, wspaniały, szeroki oddech. A w słońcu palą się tak blisko czerwone nadmorskie skały z groźnym, ponurym profilem hiszpańskiego fortu z XVI wieku — Santa Cruz.

W ogrodzie domu dla rekonwalescentów szumią cicho palmy i pnące się żółte róże zaglądają ciekawie do okien. Wysoki, o wybitnie germańskim typie żołnierz z Legji Cudzoziemskiej pyta grzecznie o cel naszej wizyty, salutuje i woła w kierunku pierwszego piętra:

— Markiewitz! *Une visite!*

Ten sam okrzyk powtarza jeszcze ktoś i po długiej chwili słyszymy miękkie kroki kogoś, wchodzącego śpiesznie na dół w filcowych pantoflach. I w półmroku klatki schodowej patrzą na nas radośnie zdziwione, koloru kwiatów lnu oczy. Cała Polska jest w tych szczerych, prosto patrzących oczach, w tej bardzo młodej, niemal chłopięcej twarzy, o łagodnie uśmiechniętych ustach i energicznym podbródku.

Stoi w swym za dużym, w pośpiechu zarzuconym mundurze khaki i w khaki rogatywce, uśmiecha się i drży.

— Mam jeszcze gorączkę, proszę państwa. Tak bardzo cieszę się, że widzę kogoś z Polski... Przepraszam, żem taki zaniedbany, ale oh, prosto z łóżka — —

Ściskamy mocno trzęsące się ręce i wesoło protestujemy przeciw owemu rzekomemu zaniedbaniu. Protestują zresztą także — świeżo ogolona twarz o miłym, słowiańskim owalu, doskonale, po wojskowemu ostrzyżone włosy i starannie utrzymane, niewielkie, ale mocne ręce.

Ponieważ niema pokoju dla gości, wchodzimy bez ceremonji do jakiejś kancelarji, w której skrobie coś przy biurku ów barczysty Niemiec we francuskim mun-

durze. Uprzejmie podaje nam krzesła i skrobie dalej. Zapalamy papierosy i Markiewicz opowiada nam, jak to tam było pod Dżihani.

— Jak to już państwo na pewno w gazetach czytali, wyruszyliśmy właśnie wtedy z naszego fortu do tego Dżihani, bo krążące stale nad tym djabelskim wąwozem nasze samoloty, dały nam znać, że z sąsiedniego Tafilalet marokańskie uzbrojone bandy przekroczyły terytorjum Algierji. Trza je było przepędzić, proszę państwa. Jedziemy więc na naszych dzielnych mułach wąskiemi dróżkami nad okropnemi przepaściami; a od Sahary, która jest bardzo blisko, wieje taki zły wiatr, co się nazywa *simun*. Nic nie widzimy. Żółte tumany piasku walą w oczy, duszą i skrobią w gardle. Wysłało się rekonesans do tego wąwozu. Nic. Cicho. Żadnych strzałów. Zapuszczamy się więc dalej, a tu jak nie zaczną ze wszystkich stron strzelać do nas te berberskie djabły, po skałach pochowane! Zasadzka. Rekonesans, przepuścili, a do nas ogień. Nie trwało to długo.

Markiewicz oddycha głęboko i wpada w swój śląski dialekt.

— W jednej chwili dziwam się, a tu same trupy kolegów. I ze skał pędzą prosto na mnie te djabły berberskie, a ja tu już sam, jak ten palec. Jeden strzelił do mnie zbliska. Upadłem, alem się znów zerwał i z za skały strzelam i strzelam. Boli strasznie, krew się leje, ale cóż? Leżę na czworakach, chowam się za kamienie i strzelam, bo, jak przestanę, to oni i chorągiew naszej kompanji zabiorą i mnie dorżną jak barana. Odpoczywam chwilę, dziwam się i dziwam — same zabite. — Źle — myślę sobie. Czarno w oczach, krew ci ze mnie ucieka, a tu trzeba jeszcze strzelać. I byliby mnie dobili, gdyby nie ten posterunek, co nam przyleciał na pomoc.

— Wszystkie gazety pisały o bohaterstwie pana...

— E, jakie to tam bohaterstwo, proszę pani... Com ja tam znów zrobił wielkiego? Strzelałem do końca, bo to mój obowiązek i moje żołnierskie prawo, a gdyby mnie nawet te Berbery nie mieli dorżnąć, to i takbym się nie poddał, bo żołnierski honor u nas w Legji jest wielki.

— I to jest właśnie bohaterstwo, mój dzielny i drogi chłopcze — mówi zdławionym głosem mój towarzysz i mocno ściska w obu rękach lodowatą dłoń Markiewicza. — I przytem ta prostota i ta zdumiewająca skromność — szeptem zwraca się do mnie po francusku.

A Markiewicz uśmiecha się łagodnie i nieśmiało, patrzy swemi modremi oczami w kołyszące się na wietrze palmy i widzi może ostro błyszczący na piersi Niemca — Kitzingera medal, a może płachtę swej krwi czerwonej, wlokącą się za nim, gdy ostrzeliwując się, pełzał wśród urwisk Dżihani...

Mówi dalej cicho o swych rodzimych Hajdukach Wielkich na Górnym Śląsku, gdzie się urodził i gdzie ojciec jego jest „elektrykarzem”. O tem, jak wyemigrował do Francji, jak mu tam było źle i ciężko i jak wstydził się wracać do domu z pustemi rękami i jak w Metzu zapisał się do Legji Cudzoziemskiej.

— Ciężka służba w tej Legji? — zapytujemy, przygotowani zgóry na żale i skargi.

— Ciężka — odpowiada z zadumą Markiewicz, patrząc wciąż w okno, za którem pali się grudniowe słońce. Bo to i drogi w dzikich pustkowiach trzeba budować, dynamitem skały rozsadzać i między jedną a drugą bitwą forty stawiać, mosty nad przepaściami przerzucać i na Saharze karawany z żywnością i amunicją konwojować, co idą do Sudanu. A ciągle w pogotowiu, ciągle z karabinem u nogi, bo niewiadomo kiedy i skąd mogą wypaść te bandy marokańskie i wyrznąć nas w zasadzce, jak to było koło Taza, gdzie wymordowali siedemnastu oficerów i cały nasz bataljon Legji — pięciuset ludzi. Dyscyplina żelazna, nie zabawki. Ale musi tak być, bo to z całego świata zlatują się do tej Legji różne ludzie. I książęta, co to im awanturniczy i żołnierski żywot pachnie, jak ten młody Schaumburg-Lippe, bliski kuzyn Wilhelma, co dwa lata temu, jako kapral Duval zastrzelił się w Aabat w Marokku. I mordercy, i bankruty, i różne mamine synki, co się z tatusiem pokłóciły i tacy, co to im się życie sprzykrzyło i tacy, co od stryczka, albo gilotyny uciekli. To i dyscyplina musi być nie ladajaka. A niejeden głupi myśli, że ta Legja Cudzoziemska, to taki wygodny garnizon, gdzie mu dadzą dobrze zjeść, nic nie robić, w lecie białe, a w zimie czerwone kepi z fantazją nosić... A potem, jak taki widzi, że tu twardo i ciężko, że krwawym potem trza oblać każdy kawałek chleba, to sklamrzy, palec sobie ucina, oko wydłubuje, żeby był niezdatny do służby, albo ucieka, łapią go i do twierdzy na długie lata pakują...

Zapala ofiarowanego sobie papierosa i mówi dalej z widocznem już znużeniem:

— Ale ja się nie skarżę. Samem chciał. Siłą mnie przecie nie wzięli. Jużem dwa lata odrobił — zamyśla się z lekko pochyloną głową.

Na tle zimnej pustej ściany, jego młodzieńczy profil o sinawych cieniach pod przymkniętemi oczami, ma w sobie coś niewymownie smutnego, coś, co mi przypomina jakiś, gdzieś, kiedyś widziany niedokończony szkic Wyspiańskiego.

Nagle uśmiecha się i cała jego zmizerowana twarz promienieje młodą, żywą, gorącą radością:

— Jeszcze *tylko* trzy lata... Trzy lata i wrócę do Polski. A tam, u mnie w domu matka i ojciec, siostry i bracia liczą już dni, kiedy wrócę...

— Tak, tylko trzy lata — powtarzam z pozorną wesołością i myślę ze ściśniętem sercem, że to *jeszcze* trzy lata i że tam, w palmowych lasach Tafilalet, tam, w ponurym wąwozie Dżihani, gdzie wkrótce wróci do swej kompanji Markiewicz, czyha na niego tyle berberskich kul i sztyletów...

— To nie dużo — potrząsa zuchwale krótko ostrzyżoną głową. — Nie stary ja jeszcze chłopak. Dwadzieścia siedem lat, to da Bóg, doczekam i do Polski wrócę...

— Młody i twardy — przyświadczamy z podziwem. — Jeżeli pan przeżył ten sześciogodzinny transport na grzbiecie muła do Meridżja z raną niemal śmiertelną, potem jazdę samochodem po tych piekielnych urwiskach do Colomb Béchar i aeroplanem do Oranu, no i tę operację bez narkozy...

— Tak, my, Polacy — twarde ludzie — uśmiecha się dumnie białemi zębami Markiewicz.

— Ale Niemcy, których jest aż 80% w Legji Cudzoziemskiej, dokuczają wam, nieprawdaż?

— Dokuczać dokuczają — potwierdza Markiewicz — ale abo to Polak da się Niemcowi? Czterech ich trzeba na jednego — śmieje się cicho, butnie, młodzieńczo, a w ciemnych rzęsach skrzą mu się wesoło modre polskie oczy.

Ale jest już blady i powoli aż szarzeje ze znużenia. Wręczywszy mu paczkę książek i ilustracyj, dzięki apelowi „Świata Kobiecego” przysłanych przez dobrych ludzi z Polski, ściskamy długo, serdecznie jego trzęsące się, bezsilne ręce.

— Dowidzenia! — wołamy jeszcze raz z ulicy.

Stoi na progu oparty o odrzwia, smukły i drobny w swym za dużym mundurze khaki i uśmiecha się trochę smutno, że znów zostaje sam w tym cichym, białym domu, gdzie w poszumie chwiejących się za oknem palm afrykańskich tak słodko i radośnie mówiło się przez pół godziny — po polsku.

HELENA FILOCHOWSKA
Oran (Algerja), w grudniu 1929.

ECHA Z AFRYKI. W imieniu Polaków z afrykańskiej Legji Cudzoziemskiej, przesyłamy najserdeczniejsze podziękowanie za książki, pisma i ilustracje anonimowej, a wspaniałomyślnej ofiarodawczyni, pani AB. ze Lwowa, zaopatrującej stale naszych drogich chłopców w najświeższe nowości beletrystyczne i podręczniki do nauki obcych języków, p. M. Tomaszewskiej i J. Śliwińskiej także ze Lwowa, p. L. Maxymowicz z Krakowa, p. M. Pokornej z Lublina (która do paczki dołączyła obrazki św. Teresy), pp. Wrzychczyńskiej i Lewandowskiej z Poznania, p. M. Putkowej z Żywca, p. M. Nawojskiemu ze Stanisławowa, p. Cybulskiej z Chojna, p. J. Kwiatkowskiej z Warszawy (śliczna główka Stachiewicza i albumik wysłane do Fezu), oraz p. Nestiukównie za ilustracje i podręcznik angielski, p. Kalczyńskiej z Torunia, pp. dr Zielińskim z Kopyczyniec, p. Z. Maciaszczykównie i p. Golińskiej z Łodzi za paczkę wspaniałych treścią i oprawą książek z symboliczną czterolistną koniczyną i głęboko wzruszającym przepięknym listem (niestety, pozbawionym adresu ofiarodawczyni), świadczącym, jak cudownie miłosiernem i pełnem bezcennych skarbów jest serce polskiej kobiety.

Gorąco dziękujemy za stałą pamięć o naszych bohaterskich „straceńcach" p. A. Malinowskiej z Krosna, która ich zaopatruje w dzienniki, ilustracje i cenne książki, Sz. Wydawnictwu „Świata Kobiecego", tak szlachetnie popierającemu naszą akcję, oraz tym wszystkim zacnym osobom, których nazwisk na zniszczonem opakowaniu przesyłek nie można odczytać.

Rodacy nasi z Legji bardzo proszą o łaskawe posyłanie „Kurjera Warszawskiego" oraz „Świata" w komplecie, w paczkach, dwa razy na miesiąc i zgóry z wdzięcznością dziękują.

*Haef*

* * *

*Legjoniści polscy francuskiej Legji Cudzoziemskiej zasyłają wszystkim Czytelniczkom i Czytelnikom „Świata Kobiecego" najserdeczniejsze życzenia „Dosiego Roku".*

MEMORJAŁ W SPRAWIE REFORMY ŻEŃSKIEGO SZKOLNICTWA. Dnia 9/XI ub. r. złożony został u Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego memorjał w sprawie reformy żeńskiego szkolnictwa, podpisany przez kilka organizacyj oświatowych i społecznych miasta Włocławka: przez Włocławskie Koło T. N. S. W., Narodową Organizację Kobiet Oddział we Włocławku, Związek Ziemianek, Włocławskie Stowarzyszenie Lekarzy, Towarzystwo Eugeniczne, Koło Księży Prefektów, Towarzystwo Ochrony Kobiet, Koło Opieki nad młodzieżą Gimnazjum im. M. Konopnickiej we Włocławku, Towarzystwo Przyjaciół młodzieży Gimnazjum Ziemi Kujawskiej.

Memorjał ten brzmi jak następuje:

Do Pana Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.

Ponieważ Centralne Zarządy szeregu organizacyj kobiecych złożyły Panu Ministrowi memorjał w sprawie żeńskiego szkolnictwa, niedokładnie informujący o projekcie reformy, wysuniętym przez Komisję dla spraw żeńskiego szkolnictwa przy Kole Włocławskiem T. N. S. W., czujemy się w obowiązku wyjaśnić główne zasady naszego projektu.

Projekt ten był rozpatrywany na jednej z Komisyj zjazdu delegatów T. N. S. W. w Warszawie w kwietniu 1929 r. i został przedstawiony plenarnemu zebraniu w następujących tezach:

1. Średnie szkolnictwo żeńskie wszelkich typów winno uwzględniać odrębności ustroju biologicznego i psychicznego dziewcząt i specjalną rolę kobiety w rodzinie i społeczeństwie.
2. Rozkład materjału nauczania w programie szkół średnich żeńskich powinien liczyć się z innym niż u chłopców przebiegiem okresu dojrzewania dziewcząt.
3. Metody wychowania dziewcząt winny być dostosowane do ich odrębności psychicznych.
4. Szkoły średnie żeńskie ogólno-kształcące winny dawać prawa wstępu do szkół akademickich narówni ze szkołami męskiemi, podobnie jak zawodowo-żeńskie szkoły winny dawać prawa wstępu do odpowiedniego typu szkół wyższych.

Z powyższych tez wynika, że pragniemy obok istniejących typów szkoły średniej ogólno-kształcącej, odpowiedniej dla chłopców, utworzenia równowartościowego pod względem poziomu naukowego i pod względem uprawnień do wyższych studjów typu żeńskiej szkoły średniej ogólno-kształcącej, przystosowanego do odrębności psychicznych dziewcząt i do ich przyszłej roli w rodzinie i społeczeństwie.

Uważamy, że stawianie szkolnictwu żeńskiemu obok wspólnych celów z męskiem jeszcze innych zadań, wypływających ze specjalnej roli kobiet i pewnej odrębności ich psychiki, nie jest równoznaczne z obniżaniem, bowiem odrębność nie dowodzi niższości. Przystosowanie rozkładu materjału nauczania w programie żeńskiej szkoły do innego u dziewcząt niż u chłopców przebiegu okresu dojrzewania oraz pewna indywidualizacja tegoż programu w zastosowaniu do psychiki dziewcząt i do ich zadań życiowych zgodna jest z prawami biologicznemi, psychologicznemi i socjologicznemi oraz z nowemi kierunkami pedagogicznemi i w żadnym wypadku nie może być brana za dążenie ku pomniejszeniu zdobytych przez kobiety praw politycznych i społecznych.

Z wyżej przytoczonych motywów wynika, że reforma szkół żeńskich może być przeprowadzona niezależnie od reformy szkół męskich, gdyż pierwsze nie powinny być niewolniczo wzorowane na drugich.

KOŁO STUDJÓW GOSPODARSTWA DOMOWEGO W WARSZAWIE rozsyła następujące wezwanie do pań gospodyń:

„Gospodarstwo domowe kobiety polskiej znajduje się w stanie zacofania. Już rozbrzmiewają hasła naukowej organizacji pracy i w tej dziedzinie, lecz do szerokiego ogółu jeszcze nie dotarły. Palącą potrzebą jest, aby każda pani domu, czy to bogata, czy też niezamożna, zrozumiała, że od jej umiejętności gospodarowania zależy dobrobyt całego narodu. Nie zapominajmy o tem, że przez ręce kobiety przechodzi większa część wszelkich dochodów! Tymczasem, jak dotąd, nie przygotowujemy się wcale do prowadzenia racjonalnej gospodarki domowej, dlatego też mało jest w Polsce domów, zorganizowanych należycie.

Wejrzyjmy za kulisy naszego gospodarstwa i zadajmy sobie pytanie:

1. Czy umiemy dobrze rozplanować nasze codzienne zajęcia?
2. Czy kierujemy się w zarządzaniu domem fachowemi radami?
3. Czy mamy możliwie racjonalnie urządzone kuchnie w zastosowaniu do własnych potrzeb?
4. Czy posiadamy i stosujemy dostępne przyrządy, ułatwiające pracę i oszczędzające czas?
5. Czy mamy wyszkoloną służbę?

Niestety, nie!

Wszystkie powyższe zagadnienia mogą być pomyślnie rozwiązane tylko na drodze szerokiego zrzeszenia się pań gospodyń.

Akcję skupiania pań gospodyń dokoła istotnych celów domu i gospodarstwa zapoczątkowało Koło Studjów Gospodarstwa Domowego w Warszawie. Program prac Koła obejmuje następujące działy:

Szeroka propaganda żywem słowem i drukiem idei wzorowego domu i gospodarstwa; odżywianie i gotowanie; unormowanie godzin pracy i posiłków; rozplanowanie kuchen; udoskonalanie przyrządów gospodarskich; pobudzanie przemysłu krajowego do szerszej wytwórczości w tym zakresie; unormowanie stosunków ze służbą domową; pokazy praktyczne; kursy dokształcające i wykłady; wreszcie tworzenie kooperatyw i uzyskiwanie rabatów dla członkiń Koła.

Koło ma na celu najszerzej pojętą samopomoc i jest zbiorową siłą stojącą na straży interesów każdego Domowego Ogniska.

Powiększajmy więc kadry tej pożytecznej instytucji i dołączmy swój skromny udział do zbiorowego wysiłku!

Niech we wszystkich ośrodkach Kraju powstają oddziały Koła Studjów Gospodarstwa Domowego!

Hasłem naszem niech będzie:

Koło dla jednostki, jednostka dla Koła!

Centrala Koła Studjów Gospodarstwa Domowego mieści się w lokalu Stow. Zjedn. Ziemianek w Warszawie (ul. Marszałkowska 149, m. 6), która udziela informacyj i służy pomocą przy tworzeniu prowincjonalnych Kół".

JAK WIADOMO, w roku 1920 wprowadzono we Francji podatek kawalerski. Teraz jednak stwierdzono, że ustawa ta nie dała spodziewanych skutków. W ostatnich czasach liczba upartych kawalerów wzrosła z 146.000 na 300.000.

PRZED KILKU LATY pewna służąca w Wiedniu, wioząc na przechadzkę wózek z dzieckiem swych państwa, została najechana przez auto ciężarowe. Miała tyle przytomności umysłu, że w ostatniej chwili pchnęła wózek na chodnik, ratując tem życie dziecku, gdy sama, poniósłszy ciężkie rany, zmarła w godzinę później w szpitalu. Obecnie postanowiono postawić w Wiedniu pomnik owej dzielnej służącej. 37 wybitnych austrjackich rzeźbiarzy nadesłało dotad projekty pomnika.

SŁYNNA LOTNICZKA ANGIELSKA Lady Heath, która niedawno opuściła szpital, rozpoczęła starania o rozwód. Wynajęła na trzy miesiące willę w Nevadzie, który to czas jest potrzebny do uzyskania obywatelstwa Stanów Zjednoczonych, poczem można otrzymać rozwód amerykański. Pogłoski o rozwodzie Lady Heath kursują już w Anglji od czasu, gdy mąż jej, Sir John Heath, ogłosił w dziennikach, że długów żony płacić nie będzie.

NA KONGRESIE związku amerykańskich jubilerów w Cleveland oświadczył przewodniczący związku, że corocznie przemyca się do Stanów Zjednoczonych diamenty wartości 150—200 miljonów dolarów. Niedozwolony przywóz dochodzi zatem obecnie do takiej samej wartości jak i jawny, podlegający opłacie celnej. Wobec tego związek ma zamiar żądać obniżenia amerykańskiego cła przywozowego na diamenty do 10 proc., ażeby w ten sposób uczynić przemytnictwo diamentów mniej popłatnem.

W NOWYM JORKU przy 23 Ulicy ma stanąć olbrzymi kompleks domów wartości przeszło 220,000.000 złotych. Do tej pory nie można było jednakże rozpocząć budowy, ponieważ jedna kobieta, Tillie Hart, nie chce opuścić swego starego domu. Obok tej rudery wszystko jest zburzone i jedynie domek upartej Amerykanki wznosi się wśród ruin.

# ROZMYŚLANIA

Ciąg dalszy o dzieciach

Albo takie miłe obrazeczki rodzajowe:

Na proszoną herbatkę o piątej zabierają rodzice kilkuletniego chłopczyka, bo dziecko jest wybitnie towarzyskie, śmiałe, lubi obcowanie ze starszymi i z ich towarzystwem jest obyte.

Pani domu, mimo takie zapewnienie, czuje się nieswojo i trwożnie śledzi obytego towarzysko chłopczyka. Zaczyna się od obchodzenia wszystkich gości, mieszania się do rozmowy, przerywania, a kończy na niecierpliwem i głośnem, oczywiście, zapytaniu: kiedy już dostaniemy coś dobrego?

A przy stole, gdzie „dobrego“ jest dosyć, trzeba, rzecz jasna, wypróbować co z tego jest najlepsze. Śmiały i obyty chłopczyk rozpoczyna od stwierdzenia, że herbaty nie lubi i chce czekolady. Następnie dotyka rączką herbatników kolejno, próbując — miękkie, czy twarde. Tę samą analizę stosuje do tortów, nabierając rączką na talerzyk kawałki i zwracając je, po nadgryzieniu, na pierwotne miejsce z uzasadnieniem: to niedobre, może drugi będzie lepszy. Chłopczyk lubi czystość i za każdym razem wyciera ręce w piękny haftowany obrusik.

Matka chłopczyka siedzi obok niego, patrzy na wszystko i nic złego w tem nie widzi. Przeciwnie, z dumą mówi do nawpół przytomnej z zakłopotania i obrzydzenia pani domu: a widzi, droga Pani, czyż nie mówiłam jakie moje dziecko śmiałe i obyte z dorosłymi. To nie tak jak inne dzieci, które trzeba zmuszać do powitań i rozmów z obcymi. Mój chłopczyk wszędzie da sobie radę i zachowuje się tak milutko jak u siebie w domu. Wychowuję go w zaufaniu do ludzi, w tem, że wszyscy lubią śmiałe, szczere dzieci, i stąd ta jego swoboda. — Bez komentarzy.

Kinowi bywalcy zwierzają mi również swoje utrapienia i gorycze, prosząc o poruszenie w „Rozmyślaniach“ kwestji brania kilkuletnich dzieci do kina. Widujemy tam dzieci od dwóch latek począwszy, dla których nie kupuje się biletu, sadza na kolanach, a płaszczykiem obarcza poręcz fotela i sąsiadkę lub sąsiada. Dziecko umieszczone na kolanach nie może trzymać nóżek prosto przed sobą, bo na to nie pozwalają wąskie przejścia między fotelami, i z konieczności odsuwa je wbok. I znowu, tak jak z garderobą dziecka, dzieje się to kosztem niewygody sąsiedztwa. Obuwie dziecka zapylone lub obłocone dotyka co chwilę ubrania sąsiadów, za co, takiego prawie jeszcze niemowlęcia, nikt winić nie może. Dziecko w kinie nudzi się i trzeba je zabawiać przymawianiem, tłumaczeniem i przysmaczkami, chrupanemi głośno i kruszonemi dokoła.

Ale tu nie koniec udręczeń bezpośredniego sąsiedztwa; są rzeczy działające i w dalszym promieniu. Dzieciątko nie rozumie obrazów i scen wyświetlanych na ekranie, więc, rzecz zwyczajna, zadaje głośno i z uporem pytania, najczęściej w chwilach najpoważniejszych lub najbardziej emocjonujących. Czasem dziecko niezadowolone z przebiegu akcji żąda innego załatwienia sprawy, więc matka uspokaja, tłumaczy, czyta napisy.

Czasem, coprawda nie tak rzadko znowu, dzieciątko musi nagle opuścić lokal, o czem głośno i z prostotą objaśnia. Ale to już o wiele lepsze od faktu, który mi pod słowem honoru opowiedziano. Chłopczyk trzyletni, który był dla odmiany z ojcem w kinie, objawił chęć wyjścia. Ojciec, któremu żal było opuścić w połowie film, wytłumaczył coś zachęcająco synkowi, umieścił go ochronnie między kolanami, pochylił się nad nim i drobna sprawa została dyskretnie załatwiona, a w chwilę potem posłuszny chłopczyk siedział zpowrotem na kolanach pomysłowego ojca.

Co za korzyści ma dziecko z odwiedzania kin, z filmów, których nie rozumie, albo z których uczy się rzeczy niepotrzebnych, ogląda sceny nie nadające się dla oczu dziecięcych, gdy wdycha duszne zatrute wyziewami setek ludzi powietrze, psuje wzrok i wypacza wyobraźnię.

Dzieciom powinien być wzbroniony wstęp do kina. Byłoby wskazane, ażeby odnośne władze ujęły inicjatywę w swoje ręce i wydały odpowiednie zarządzenia. Skoro rodzice sami działają na szkodę własnych dzieci, należy ich zakazami zmusić do oszczędzania wieku dziecięcego. Tłumaczenia w rodzaju takich np., że matka musi się przecież rozerwać, a niema z kim dziecka w domu zostawić, pozbawione jest wszelkich podstaw rozsądku i etyki. Dla chwilowej rozrywki matki nie wolno narażać dziecka na szkodliwe wpływy, a obcych ludzi na rozmaite przykrości.

Tramwaj jest również terenem popisów dobrego wychowania przedewszystkiem rodziców, a potem dzieci. Zamiast kupić bilet dla dziecka i umieścić je wygodnie na ławce, korzysta się z niezrozumiałego dla mnie prawa zwalniającego od opłaty dzieci do pewnego wieku. Wszak dziecko więcej kłopotu przysparza w tramwaju czy kolei, aniżeli dorosły, więcej potrzebuje miejsca z powodu swej ruchliwości. Umieszczone na kolanach, zawadza stojącym w przejściu lub sąsiadom, plamiąc ich ubrania obuwiem; podobnie jak w kinie. Zniecierpliwione jazdą dzieci zabawiają matki w interesujący sposób. Mianowicie stawiają dziecko na ławce i zalecają patrzenie przez okno. Fakt, że ktoś usiądzie potem na miejscu zabłoconem obuwiem dziecka, nic taką matkę nie obchodzi. Chyba gdyby to spotkało ją samą z powodu obcego dziecka.

Znane są również przykłady wychowywania dzieci w nieco odmiennym stylu. Opowiadała mi jedna z Czytelniczek, że po świetnym artykule Lynx'a: „Dzieciństwo sielskie, anielskie“ — drukowanym w „Świecie Kobiecym“ — nabrała odwagi do przeciwstawiania się różnym metodom wychowawczym. Będąc świadkiem wypoliczkowania w tramwaju dziewczynki przez matkę za to, że dziecko nie mając ochoty stać na platformie prosiło kilkakrotnie o wejście do środka, stanęła w obronie publicznie znieważonego maleństwa. Na poirytowane zapytanie matki, jakiem prawem miesza się do nieswoich spraw — odpowiedziała moja dzielna znajoma rozkoszną złośliwością: a chociażby dlatego, że należę do Towarzystwa Ochrony Zwierząt — równie bezbronnych jak dzieci. I tu, padły charakterystyczne słowa matki: „Mnie z mojem dzieckiem wolno robić co mi się chce“.

Widocznie nie wie, ta kochająca i taktowna matka-wychowawczyni, że maltretowanie dzieci przez rodziców objęte jest kodeksem karnym.

Warto tu jeszcze poruszyć pewien sympatyczny pomysł rodziców, przeważnie matek, stosowany do znajomych, mieszkających w tej samej kamienicy. Oto chcąc się wyzbyć dziecka na przeciąg kilku godzin, czy to dla odpoczynku, czy z powodu konieczności wyjścia z domu, posyła się dziecko samo do znajomych. Cóż mają począć biedni ludzie, na których spada nagle ciężar bawienia obcego dziecka lub dzieci. Próby odesłania, czy odprowadzenia, spotykają się z oporem dzieci, albo z obrazą rodziców, lub też z zamkniętemi drzwiami ich mieszkania. A gdy późnym wieczorem przyjdzie po nie służąca, lub matka, pyta ta ostatnia ze słodkim uśmiechem: czy też nie naprzykrzyły się dzieciaki Państwu? One tak państwa lubią i tak się napierają zawsze do Nich, że trudno odmówić maleństwom. Albo i tak się zdarza, że matka robi wyrzuty dzieciom: szukamy was po całej kamienicy, nie wiemy co się z wami stało, niepokoimy się, a wy tu sobie w najlepsze kryjecie się i przeszkadzacie Państwu. A dzieci, ze zwykłą im szczerością protestują: mamusiu, przecież sama nas tu wysłałaś!

Trzeba przecież zastanowić się wprzód nad konsekwencjami takiego postępowania. Przecież każdy człowiek ma jakiś plan dzienny, czy to pracy czy innych zajęć, albo wreszcie może chce odpocząć. A może nie ma daru zabawiania dzieci, może jest właśnie cierpiący i pragnie samotności. Może ma terminową robotę i potem musi zużyć na nią godziny ze snu nocnego. Klasa średnia żyje dziś w tak ciężkich warunkach finansowych, że prawie wszystkie kobiety, poza zajęciami domowemi, uprawiają jakiś zawód. W małych miasteczkach, w których o zawodową pracę jest trudniej, aniżeli w większych, dopomagają kobiety swoim budżetom w inny sposób. Trzymają zamiast dwóch, jedną służącą — zamiast jednej, dochodzącą. Same szyją garderobę, swoją i dzieci, naprawiają, gotują i wogóle wykonują czynności, za które dawniej opłacały służbę. Nierzadko, dopomagają dzieciom w nauce szkolnej. W takich warunkach strata czasu na pilnowanie i zabawianie cudzych dzieci staje się prawdziwym ciężarem i wprowadza niepożądany zamęt w uporządkowany tryb zajęć; ponadto, działa fatalnie na nerwy, i tak już skądinąd porządnie skołatane.

Mało jest dziś w sferze średniej kobiet żyjących dostatnio, w wygodach i mogących dowolnie rozporządzać czasem. Te przedewszystkiem — powinny rozważyć powyższe uwagi.

Dzieci winić nie możemy, gdy wykazują różne braki w wychowaniu, nie wiedzą co wolno a czego nie, są bezwzględne, egoistyczne, nie rozumieją istoty uprzejmości, tej najmilszej z cnót we współżyciu z ludźmi. Nie można ich winić, gdy są w towarzystwie czy w szkole nieznośne, nieposłuszne, samowolne, nie szanujące nikogo ani niczego, nie liczące się z niczem prócz z własnemi zachciankami, z własną wygodą. Nie ich to, lecz rodziców wina, i wypaczonego systemu wychowawczego, który sprawia, że często są postrachem dla znajomych i otoczenia domowego, zamiast być radością i rozjaśnieniem życia.

Czyż z takiego stanu rzeczy nie wynika konieczność wychowywania rodziców do ich odpowiedzialnej roli? Czyż nie byłoby wskazanem, ażeby wychodzące zamąż dziewczęta obowiązkowo odbywały kurs wychowywania dzieci? A już zamężne, które wykazują karygodną nieświadomość swoich obowiązków, czyż nie powinnyby uczęszczać na kursy dokształcające. Wobec wydanych na świat dzieci zaciąga się przecież nietylko obowiązek utrzymywania ich do wieku pełnoletniego. Na życie samodzielne, na walkę o byt trzeba je zaopatrzyć w pewne wartości, bez których czekają je ciężkie zmagania się z przeszkodami nieznanemi, nieprzewidzianemi, a zatem z najgorszego rodzaju wrogiem.

OBSERWATOR

# JESZCZE O OPERACJACH PLASTYCZNYCH

Z WRAŻEŃ ASYSTENTKI

Namawiają mnie już oddawna pacjentki operowane, a i znajome nie znające tych zabiegów, bym opisała swoje wrażenia i spostrzeżenia tak całkiem poprostu, nie po lekarsku, ale jakby w szczerej rozmowie przyjacielskiej.

Jak się kobiety zachowują przed i po operacji, czy są zadowolone, czy się boją, czy cierpią, czy to naprawdę bezbolesny zabieg, z jakich pobudek poddają się tym zabiegom i „czy to wogóle coś warte".

Wahałam się i ociągałam z tem dłuższy czas, gdyż właśnie „Świat Kobiecy" jest owem czasopismem, które pierwsze w Polsce zaczęło umieszczać artykuły z tego zakresu. Artykuły fachowe, a przytem bardzo przystępnie informujące. Lwów zaś jest pierwszem miastem w Polsce, w którem jeden z lekarzy zajął się tym działem chirurgji. Ogarnęła mnie więc usprawiedliwiona nieśmiałość i niepewność, czy po wyżej wspomnianych artykułach mogłabym zabrać głos i powiedzieć paniom coś, co je zainteresuje. Z rozmów wynika jednak, że owszem. Że są rzeczy, o których lekarz nie napisze, a właśnie asystentka nadaje się do tego najlepiej.

Przejdźmy więc kolejno pytania.

Jak się pacjentki zachowują? Zależy to od temperamentu, stanu nerwów i od wychowania. Są pacjentki tak miłe, grzeczne, inteligentne i wdzięczne, że człowiek myśli o nich z gorącą sympatją i z uśmiechem wspomina poświęcone im chwile. Pracuje się koło nich z rozkoszą i żal rozstawać się z niemi. Ufają lekarzowi, polegają na jego radach i doświadczeniu i nie żądają niemożliwości. Stosują się do jego wskazówek przed i po operacji — no i najlepiej na tem wychodzą.

Są i inne, które już na przedwstępnych wizytach zamęczają lekarza swojemi wątpliwościami, życzeniami, zasypują gradem pytań, żądań, wymagań. Albo takie, które nigdy i z niczego nie będą zadowolone. Już z zasady. Przestrzegają lekarza, by nie wyciął za dużo, bo każdyby się domyślił, że przeszły operację. Wolą przyjechać za rok na nowy zabieg, byle ich nikt o to nie podejrzewał. A gdy się lekarz zastosuje do ich kategorycznych zastrzeżeń — robią gwałtowne wyrzuty, że: „za mało zostało wycięte". Badanie w lustrze strony operowanej z nietkniętą jeszcze, i widoczna korzystna zmiana, nie przekonają takiej pani. Siedzi z chmurną, nadąsaną miną, nieprzystępna, krytyczna, złośliwa. Inna znów dla odmiany nalega: Panie doktorze, proszę wyciąć jak najwięcej, ile się da! Nie pomagają tłumaczenia o zmianie kształtu oczu na skośne, japońskie i o innych niedogodnościach. Pacjentka upiera się przy swojem żądaniu i zapewnia, że dawniej miała skośne oczy, i brano ją nawet za Japonkę, teraz więc chce im przywrócić pierwotny wygląd. Potem jeszcze następują nieprawdopodobnie drobiazgowe wypytywania, a nawet rady, w którem miejscu wyciąć trzeba, i wkońcu — targi o honorarjum, które w stosunku do pracy, straty czasu i kosztownych przygotowań jest niezwykle skromne. Zwłaszcza, gdy porównamy ceny tych operacyj w Niemczech i Francji.

Przyznaję, że operowanie w takich warunkach nie sprawia satysfakcji i, gdyby to ode mnie zależało, nie operowałabym tego rodzaju pacjentek.

Z reguły jednak są prawie wszystkie pacjentki zadowolone z wyniku operacji. Te zaś, które spełniają wskazówki obowiązujące po operacji, są wynikami zachwycone. Znam tylko jedną, która nie chciała uznać pomyślnej zmiany i twierdziła, że „nie może się zorjentować". Należała do tych trudnych typów, wszystkiemu przeczących, niedowierzających i z niczego niezadowolonych.

Kobiety odważnie przystępują do tych operacyj, mimo obawy przed ewentualnem cierpieniem. Upewniają się, czy istotnie bólu czuć nie będą, trochę niedowierzają upewnieniom, widać że są zdenerwowane i przejęte, ale: zdeterminowane na wszystko. Dzielne. Gdy się jednak przekonają, że znieczulenie naprawdę wyłącza ból najzupełniej przy nacięciach i zakładaniu szwów, których absolutnie nie czują, napięcie nerwowe znika, wraca swoboda, a czasem nawet drzemią pacjentki w trakcie operacji.

Pobudki do poddania się operacji są rozmaite. Może najrzadziej obserwowałam próżność. Wyliczę inne: chęć zatrzymania ukochanego mężczyzny przy sobie, który niedwuznacznie mówi o niekorzystnej zmianie, pragnienie zadowolenia ambicji syna, który martwi się, że inni koledzy mają młode matki, polepszenie szans w zdobyciu stanowiska, t. j. w walce o byt. Dziś wymogi co do warunków otrzymania pracy rozciągnęły się i na wygląd zewnętrzny, nic więc dziwnego, że kobiety i z tem się liczyć muszą. Ale przyznaję, że najwięcej mnie wzruszyła kobieta, składająca synowi taki rzadki dowód macierzyńskiej miłości. Dotychczas bywali mężczyźni próżni na punkcie urody i powodzenia swoich córek, żon, narzeczonych, przyjaciółek — obecnie zaczynają synowie odczuwać to samo. Czyli, że wszyscy i wszystko żąda od kobiety miłej powierzchowności.

Na pytanie, czy operacje plastyczne są wogóle coś warte, odpowiem z głębokiego przekonania: tak.

Trzeba tylko, prócz samej operacji, spełniać niektóre inne warunki, uzupełniające metamorfozę. O ile poddaje się zabiegowi kobieta wypielęgnowana i obyta z kulturą ciała, zna je dobrze i spełnia samorzutnie. O ile nie, obowiązkiem inteligentnej asystentki jest zwrócenie jej uwagi na zauważone braki.

I tak, prócz operacji, która usuwa fałdy i obwisłości, należy systematycznie odżywiać zwiotczałą i wysuszoną skórę. Gdy skóra, pod wpływem odpowiedniego obchodzenia się z nią, zjędrnieje, nie rozciąga się już tak łatwo i nie jest skłonna do zwiotczenia, do formowania się nowych fałdów.

Zmiana fryzury daje niespodziewane efekty. Indywidualnie dobrana, nadaje inny wyraz twarzy, odmładza, a przedewszystkiem wywołuje urok nowości. Jak zresztą każda zmiana.

Wkońcu staranne ubranie. Niektóre kobiety zjawiają się tak zaniedbane, że przykro patrzeć. A jeszcze przykrzej i trudniej zwracać im na to uwagę. Zastrzegam się, że nie myślę o młodocianej garderobie, bo ta stanowczo postarza, gdy nie jest na miejscu, ale o świeżutkiej, pełnej prostoty, nadającej współczesny szyk sylwetce. O doborze odpowiednich barw, co jest rzeczą niezmiernie ważną.

Dopiero dopełnienie tych szczegółów stanowi o pełnym efekcie, o frapująco korzystnej zmianie, w której niemałą rolę odgrywa dobre samopoczucie, pewność siebie.

Nie byłabym kobietą, gdybym i o sobie czegoś nie napomknęła. O sobie, ale bezosobowo; o sobie, jako asystentce. To jest o tem, czego od asystentki wymagać można i trzeba, a czego nie należy.

Przedewszystkiem umiejętnej pomocy przy operacji, ślepego posłuszeństwa wobec lekarza (no, niechby nie!), niemieszania się do nieswoich rzeczy, t. j. nieordynowania na swoją rękę, i miłego obejścia z pacjentką, uspokajającego, budzącego zaufanie. Chociażby pacjentka należała do typu trudnych.

Nie należy zaś wymagać od niej nieskazitelnego ideału piękności i młodości, bo to ani od niej zależy, ani w skład jej obowiązków nie wchodzi.

# PLOTECZKI O MODZIE

### BALE KOSTJUMOWE — BALE MASKOWE
### KOSTJUMY ŁATWE DO WYKONANIA W DOMU

Różnica między balami kostjumowemi a maskowemi jest wielka.

BAL KOSTJUMOWY wymaga strojów stylowych, pięknych materjałów, drogocennych uzupełnień i prawdziwej biżuterji. Idziemy bowiem bez maseczek i jesteśmy odpowiedzialne za każdą nieścisłość, każdy brak i niedociągnięcie. Nie pojawiamy się jako anonim, jako niepokojąca zagadka, nie udajemy nikogo — przychodzimy z otwartą przyłbicą, reprezentujemy siebie. A to zobowiązuje.

Wybór kostjumu jest rzeczą bardzo ważną, gdyż od niego zależy dobra zabawa i powodzenie. A budżet? I z nim przecież poważnie liczyć się trzeba w naszej średniej sferze, która w obecnych czasach przestała być, niestety, nawet średnią...

Trzeba więc obmyśleć wszystkie za i przeciw fizyczne oraz finansowe, trzeba się liczyć z temperamentem, czyli: pod każdym względem znać siebie dobrze. Kto tego nie potrafi, musi poradzić się kogoś drugiego. Jest to niezbędny warunek wyboru odpowiedniego kostjumu.

Przy kostjumach stylowych musimy bezwarunkowo uwzględniać jak najskrupulatniej szczegóły przybrania i wszelkie niezbędne uzupełnienia całości. Często dzieją się nieznośne błędy w zakresie biżuterji, co natychmiast deklasuje najpiękniejszy kostjum. Lepiej żadnej biżuterji, aniżeli kłócącą się z danym stylem, lub nowoczesną. Tej zasady trzeba surowo przestrzegać, gdyż właśnie szczegóły podkreślające jakiś styl, jakąś epokę lub postać historyczną są tem dla kostjumu, czem sól i przyprawa dla potraw.

Także i fryzura jest szczegółem doniosłej wagi — a dyskretny maquillage uzupełnieniem ukostjumowania głowy i niejako dostosowaniem fizjonomji do charakteru stroju.

Co innego BAL MASKOWY: maskarada, reduta, bo takie nazwy mamy na określenie tego rodzaju zabawy. Tu chodzi przedewszystkiem o to, by: być niepoznaną, zwrócić uwagę. Ukryć siebie prawdziwą, za maseczką — intrygować, niepokoić i bawić się jak dziecko, które wymknęło się z pod opieki starszych. Przerwać zacieśnione koło tego, co wypada, co nie uchodzi, co ludzie na to powiedzą. Sen jednej nocy karnawałowej ułożyć dowolnie w kapryśną arabeskę własnych zachceń, bez obawy co z tego wyniknie... Nie wyniknie nic, prócz beztroskiej rozrywki bez przesytu, którą przerwie nieunikniony powrót do domu. A nie dać się poznać do końca, to szczyt zabawy!

Kostjum damy pod maseczką pozwala na fantastyczne pomysły, tanie materjały i śmiałe szczegóły. Wszystko asymetryczne, nielogiczne, narzucające się oczom cieszy się największem powodzeniem i zwraca uwagę — a zatem osiąga cel. Im zabawniejsze wrażenie robi strój, im więcej widoczny na sali, tem większe ma szanse zwycięstwa i bije kostjum wytworny lecz spokojny.

Swoboda i bezkarność zapewnione przez maseczkę sprawiły, że bale maskowe są milszem zjawiskiem od uroczystych kostjumowych, które też usunęły w cień. Tem zaś bardziej, że pociągają za sobą mniejsze koszty.

Przestrzegam panie przed jednym jedynym maskaradowym grzechem głównym: przed banalnością! Te wszystkie Krakowianki, Cyganki, Hiszpanki, Kominiarczyki, Bajadery i t. p., straszące co roku na salach balowych, mogą zohydzić najpiękniejszą kobietę. Lepiej skromny kostjumik z taniutkiego sztucznego jedwabiu, oryginalnie pomyślany i w domu uszyty, aniżeli brudne, wypożyczone świetności. Podajemy kilka łatwych do wykonania, a milutkich szkiców.

POKER (rys. 5). — Kostjum może być wykonany z białego jedwabiu sztucznego lub wogóle sztywnego, albo z organdi. Staniczek ma z boku szereg układanych, silnie zaprasowanych fałdków, w spodzie umocnionych na osobnym pasku, imitujących talję kart. Poszczególne karty są rozpięte na drutach, a figury wykonane z aksamitu czerwonego i czarnego. Fantazyjna czapeczka.

KĄDZIEL (rys. 6). — Skromna koszulka z białego sztucznego jedwabiu lub z kreponu, poszerzona dołem wolantem, pozacinanym nierówno, niby rozstrzępiony len. Przepasana kilkakrotnie złotawą wstążką. Obcisła czapeczka z tego samego materjału, wystebnowana lacetem koloru wstążki; po bokach naszyte puszyste pukle z białej włóczki.

NIEDORZECZNOŚĆ (rys. 7). — Stanik obcisły, spódniczka z dwóch wolantów kloszowych, których zęby rozpięte są na drutach, pokrytych aksamitem, albo atłasem i zakończone pomponikami. Kreza i mankiety z plisowanego tiulu. Czapka o trzech końcach z pomponami. Trykot do pasa. Kolory: biały z czarnym.

JESIEŃ (rys. 8). — Na ciemno-brunatnym aksamicie lub welwecie sukni aplikowane liście w kolorach późnej jesieni, żółtoczerwonawo-rdzawych. Jasny welon „blond", wycięty w okolicy czoła i policzków w kształt liści, wyzakładkowany, dodaje dziwnego uroku temu pięknemu kostjumowi.

TRAWA MORSKA (rys. 9). — Kostjum w kolorze zielonym, mieniącym. Na wąskiej, krótkiej spódniczce naszyte płatki jedwabiu pozacinanego nierówno. Na to przyszyty skrzyżowany stanik, ozdobiony perłami, które widzimy na przybraniu głowy i na rękach.

MAŁGORZATA Z FAUSTA (rys. 10). — Gorsecik z aksamitu brunatnego, sznurowany aksamitką, na tle białej koszulki z linon. Długa, fałdzista spódniczka z cieniutkiej wełny lub muślinu wełnianego. Rękawy przytrzymane w trzech miejscach kremowemi galonikami, wyszytemi dyskretnie rdzawą nitką. Na głowie przepaska z plisowanego linon, przykryta złotawą czapeczką. Długie jasne warkocze mogą być z włóczki.

RYBAK NEAPOLITAŃSKI (rys. 1). — Spodenki z brunatnego welwetu, asymetrycznie pozacinane. Koszulka biała; chusteczka, pas i przybranie głowy w kolorze czerwonym. Sieć na ryby na ramieniu.

OGRODNICZEK (rys. 2). — Cały kostjum wykonany z płótna: koszulka biała, spodenki stalowe, fartuch granatowy. Duży słomkowy kapelusz i saboty.

ŻÓŁTA MAŁGORZATKA (rys. 3). — Kostjum wykonany z aksamitu: staniczek — i z tafty lub sztucznego jedwabiu: płatki, z których składa się spódniczka. Czarna aksamitka.

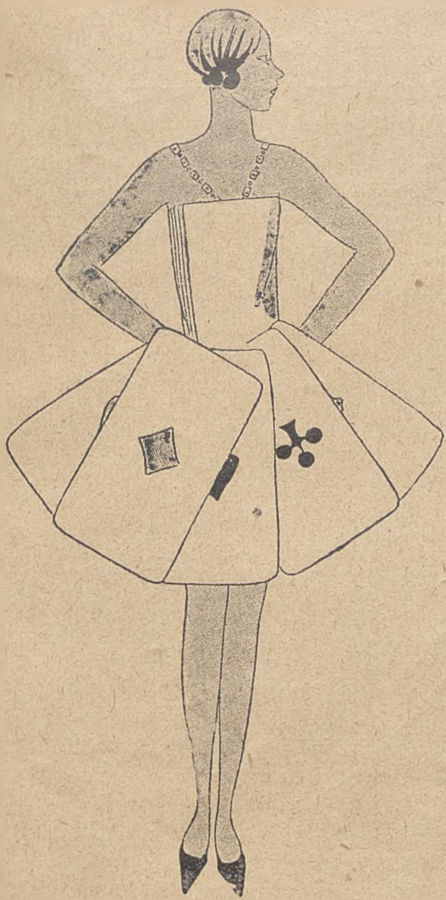
POLNA RÓŻYCZKA (rys. 4). — Staniczek i płateczki formujące kielich z zielonego aksamitu. Płatki z leciutkiego jedwabiu blado-różowego zwierzchu, spodem nieco ciemniejszego; lekko usztywnione.

Kostjumy dziecięce wykonywa się ze starych sukien matki i zbędnych resztek, nie stosując się ściśle do podanych gatunków materjałów. Byle charakter kostjumu był zachowany.



Rys. 1 Rys. 2 Rys. 3 (u góry) Rys. 4 (u dołu)

CAILLER-SOBAŃSKA



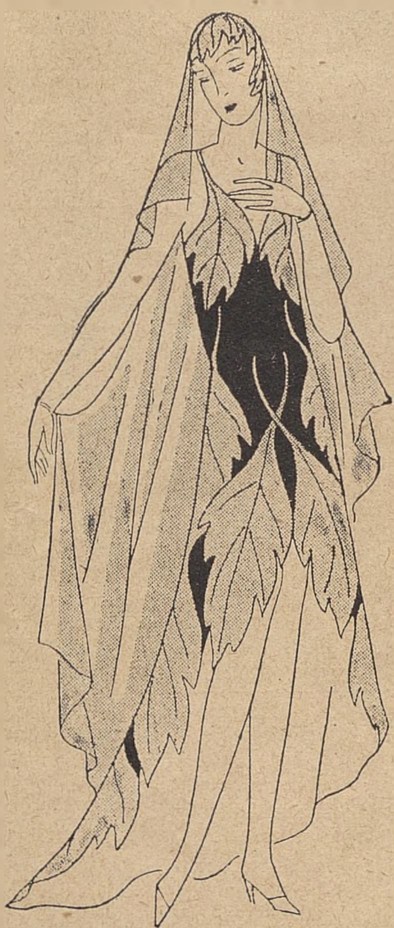
Rys. 5



Rys. 6



Rys. 7



Rys. 8



Rys. 9



Rys. 10

# MODELE MÓD
## BALOWE TOALETY



1004 1005 1006 1007

1004 Suknia z połączenia jedwabiu faille i koronki. Staniczek asymetrycznie wykończony w kolorze dahlia, koronka dobrana do tonu.

1005 Suknia z dwóch materjałów: czarny atłas i gruby czarny tiul. Ozdobą tej prześlicznej toalety jest oryginalny pas z kokardą na plecach.

1006 Suknia z białej żorżety, staniczek z opalizujących paillettes, ujęty paskiem w pasie. Podwójna kloszowa baskinka.

1007 Suknia z velours-chiffon w kolorze srebrzystym. Staniczek, asymetryczny w obwodzie, zapięty jest na plecach, a przy wycięciu wykończony plisą z żorżety do tonu.

*Modele 1004, 1005, 1006 nadają się do przeróbek.*

**Uwzględniajmy przedewszystkiem wyroby krajowe, gdyż każdy złoty wydany na nie wzbogaca kraj.**



1008 1009 1010 1011

1008 Suknia z crêpe mongol, w kolorze morskim. Stanik lekko zbluzowany, spódniczka krojem kloszowym. Pasek z materjału sukni, naszyty w połowie rdzawą aksamitką, przechodzi popod 3 pliski, umieszczone na przodzie stanika i spódniczki.

1009 Suknia z tafty blado-różowej. Krój jednolity — z prawego boku wstawiona część kloszowa, poszerzająca dołem obwód. Na biodrze zacięcie, w które wchodzi oryginalnie skomponowany wolancik kloszowy. Dekoltaż związany na kokardkę.

1010 Suknia z krepy chińskiej w kolorze pomarańczowym. Długi staniczek, lekko zbluzowany, śpiczasto zakończony wtyle. Spódniczka w obfite klosze. Pasek metalowy; szal w wycięcia, związany na plecach. Modny wachlarz.

1011 Suknia z fiołkowego aksamitu lub jedwabiu, przybrana grubym tiulem w kolorze mgły.

**Żądajmy wszędzie przedewszystkiem krajowego towaru.**

# SUKNIE DANCINGOWE



1012 1013 1014 1015

1012 Suknia z krepy meteor w kolorze rdzawym; kołnierzyk z cytrynowej żorżety.

1013 Suknia z jedwabiu sztucznego, barwy blado-złotej. Kloszowa spódniczka z asymetrycznym wolantem, od prawego biodra do tyłu biegnącym.

1014 Suknia czarna z crepe satin, krojem princesse. Kloszowa draperja, przytrzymana na biodrach kokardkami. Borta z kolorowych kamyczków lub koralików przybiera stanik.

1015 Suknia z wzorzystego muślinu lub gaze-voile. Zbluzowany, asymetryczny staniczek zdobią zakładki i metalowy pasek.

**Nie gardźmy krajowemi materjałami, lecz przeciwnie, szczyćmy się sporządzonemi z nich sukniami.**

**Pamiętajmy, że krajowe śniegowczyki i kalosze są o połowę tańsze.**

# ROBOTY RĘCZNE

Rys. 260. — KOŁNIERZYK I MANKIETY z linon, haftowane białym lub kolorowym jedwabiem (np. brunatnym i żółtym); wykończone ręcznym lub maszynowym endlem.

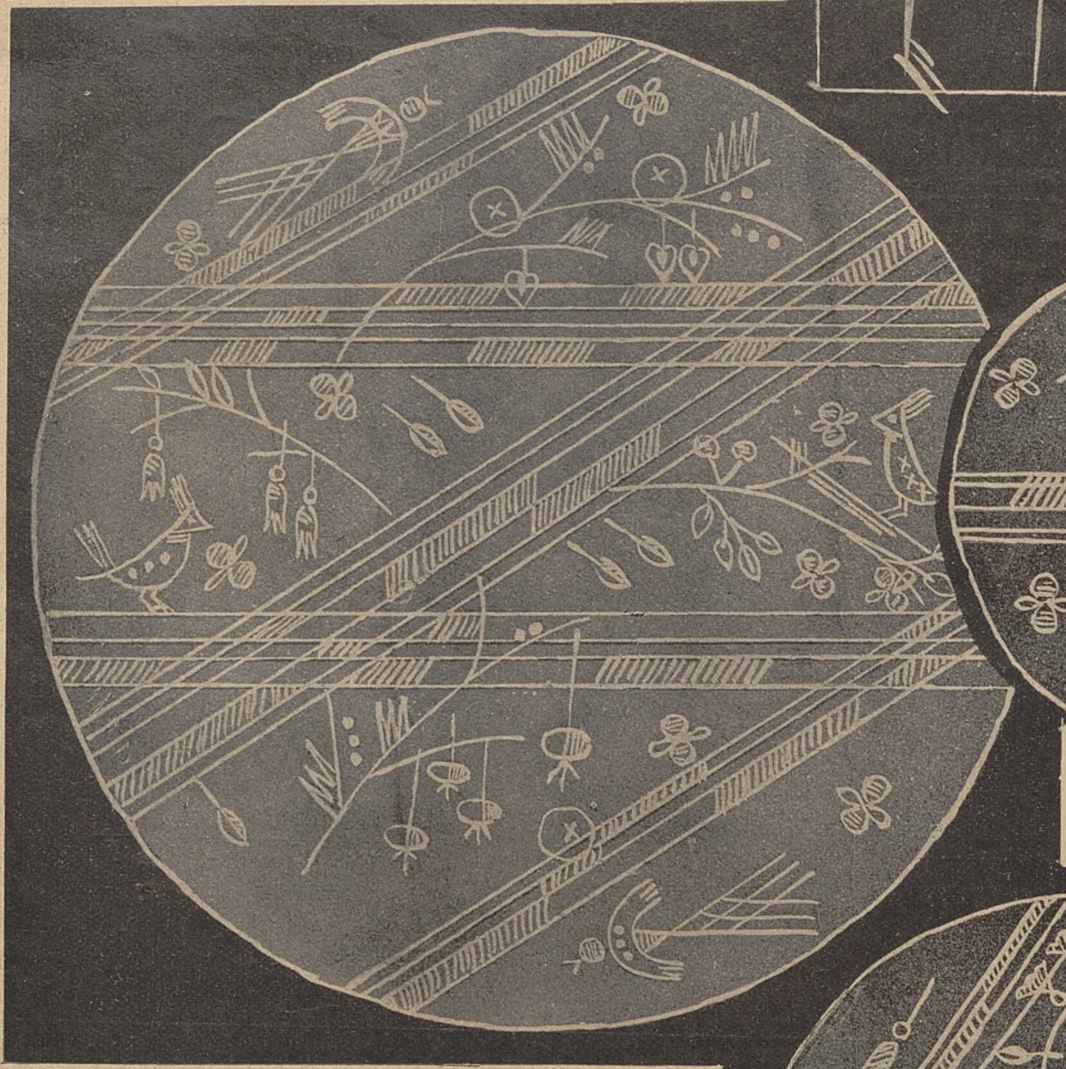
Rys. 259, 261 i 262. — GARNITUR TIULOWY: milieu, serwetka pod duży i pod mały talerz.

Duży wdzięk, łatwa technika i wreszcie niska cena materjału przyczyniają się do ogromnego rozpowszechnienia modnych robót tiulowych. Każda pani może sama wykonać serwetkę lub szykowny kołnierzyk w przeciągu kilku godzin. Wzór, którego na żądanie dostarczamy, należy odbić na gruby papier pakunkowy, napięty tiul brzegiem przyfastrygować i przeciągać podwójną nitką (mouliné) dokładnie wedle rysunku. Płaszczyznę można uzyskać przez wypełnianie prostemi ściegami. Po wyszyciu należy odpruć robotę i brzeg gęsto obrzucić. Do prania tiulu (nie jedwabnego!) używa się mydła barskiego lub marsylskiego i suszy się rozpięty na ręczniku. Wzór przedstawiony możemy polecić jako zupełnie nowoczesny, a opracowany na podstawie polskich motywów ludowych.

Proj. I. H.



Rys. 260



Rys. 259



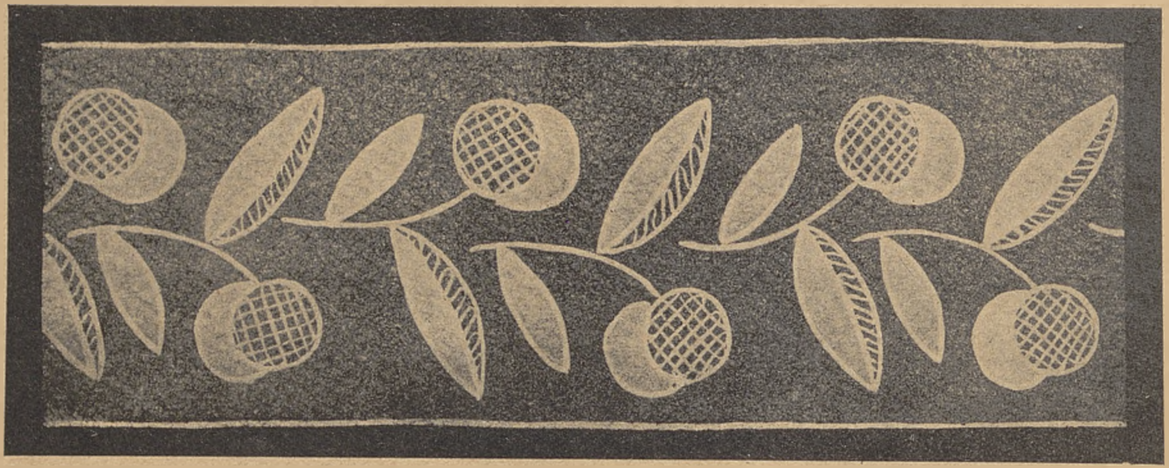
Rys. 261



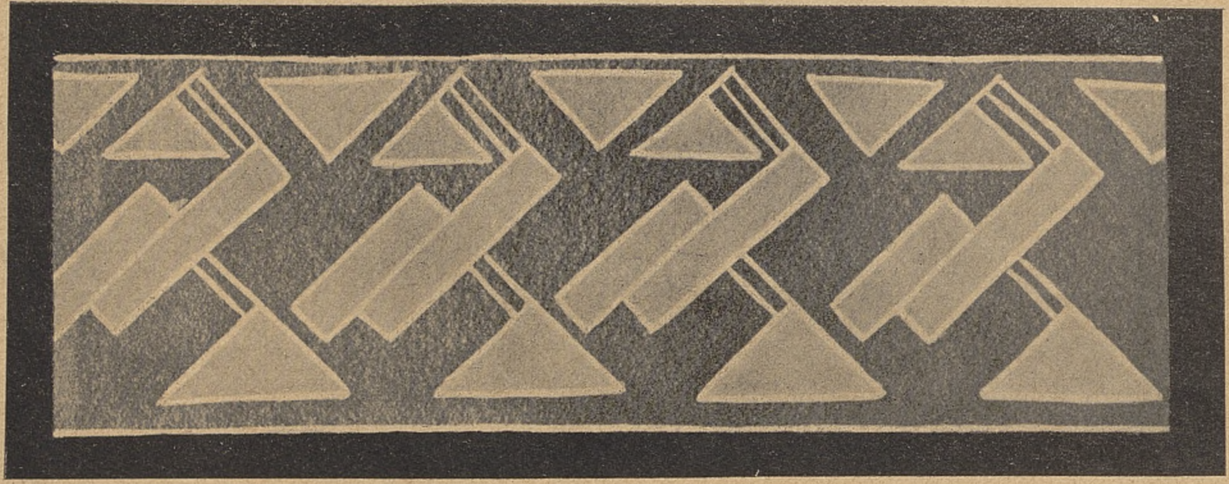
Rys. 262

Rys. 263 i 264. — WSTAWKI TIULOWE: aplikacja i ścieg ozdobny. Wielkość naturalna. Proj. prof. St. Kacprowski.

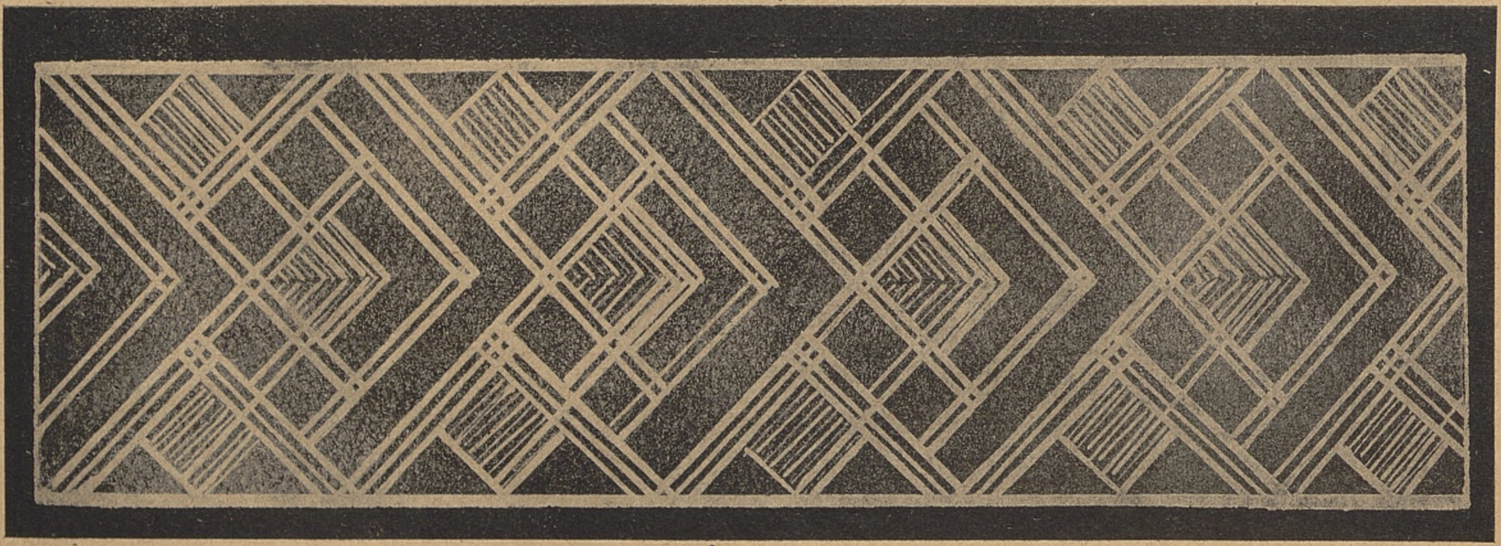
Rys. 265. — WSTAWKA wielkości naturalnej; przewlekanie na tiulu. Proj. prof. St Kacprowski.



Rys. 263

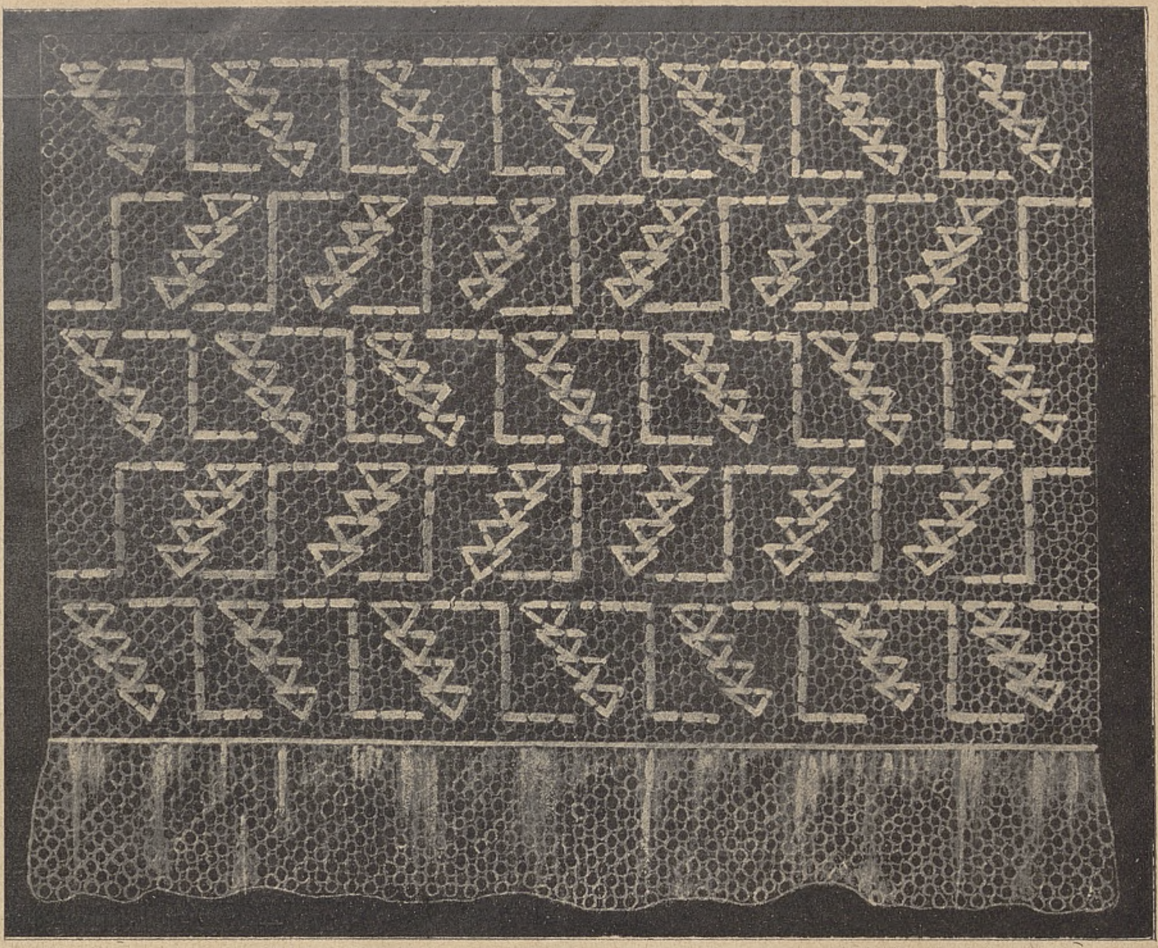


Rys 264

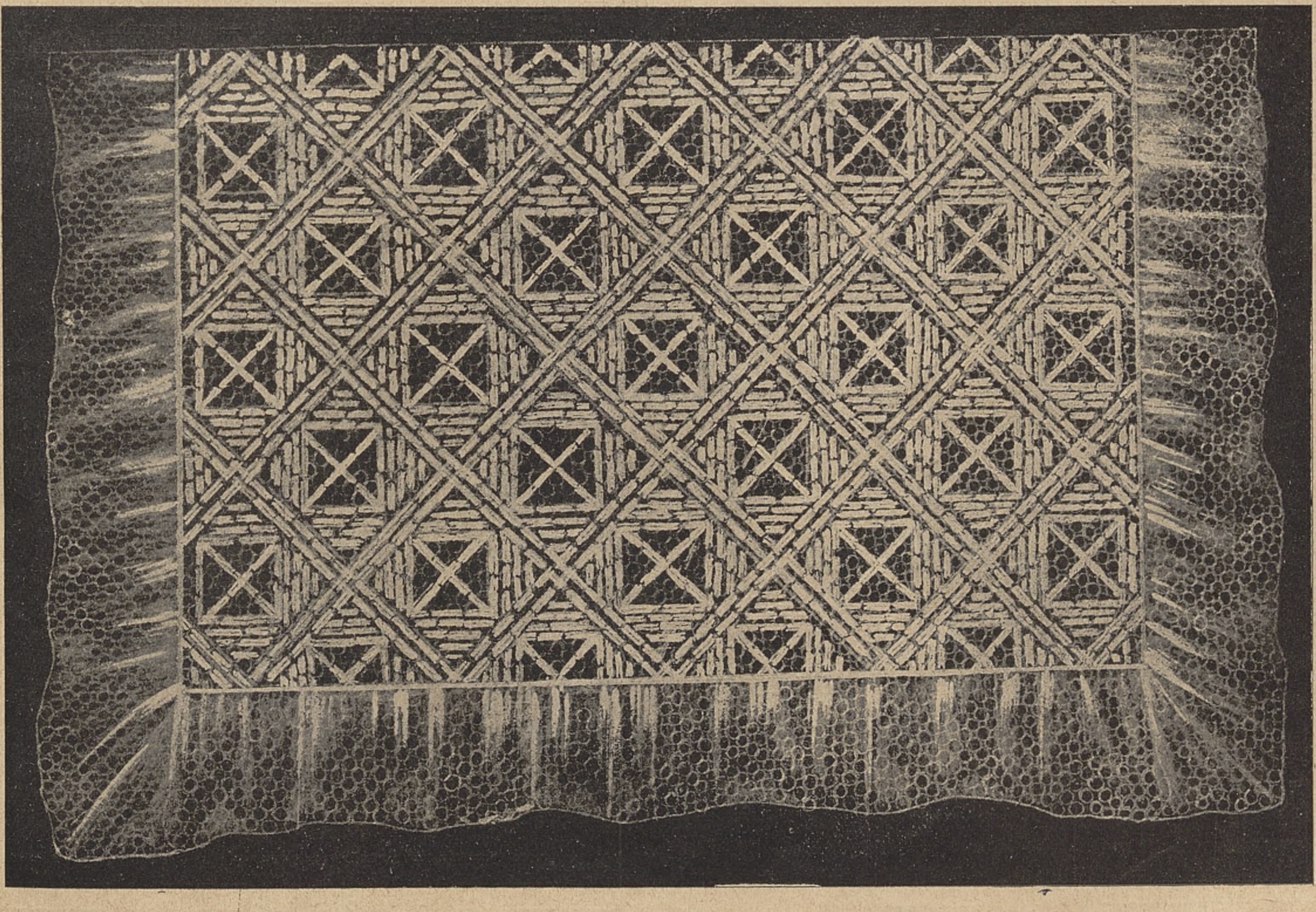


Rys. 265

Rys. 266. — KAPA TIULOWA NA ŁÓŻKO; przewlekanie.
Rys. 267. — SZLAK DOLNY DO FIRANKI z cienkiego tiulu. Szlak wykonany na grubszym tiulu; przewlekanie.
Projektował prof. St. Kacprowski.



Rys 266



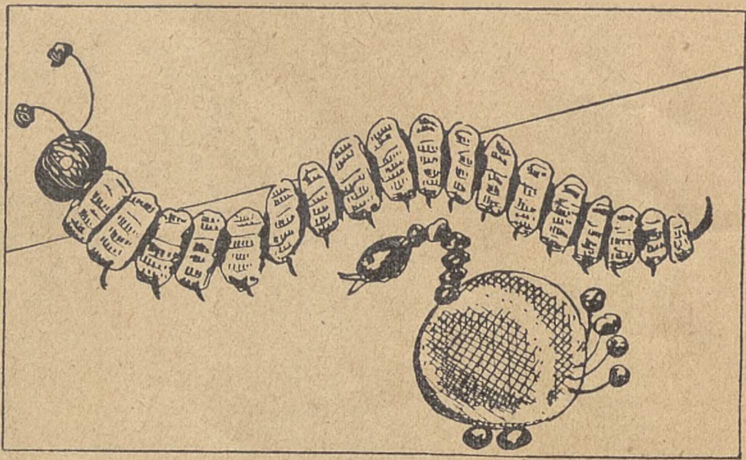
Rys. 267

# FIGIELKI KARNAWAŁOWE DO PRZYBRANIA STOŁU

Figurki z owoców, nawlekanych na druty.



Rys. 268



Rys. 270

Rys. 268. — PIERROT I KOLOMBINA. Pierrot z gruszki, główka z małego jabłka, nogi — daktyle, stopy — orzeszki amer., ramiona z rodzynek, ręce — śliwki, wszystko nanizane na druciki. Tułów Kolombiny z pomarańczy albo cytryny. Riuszki i spódniczka z papieru. Oprzeć o butelki, kosz z owocami i t. p.

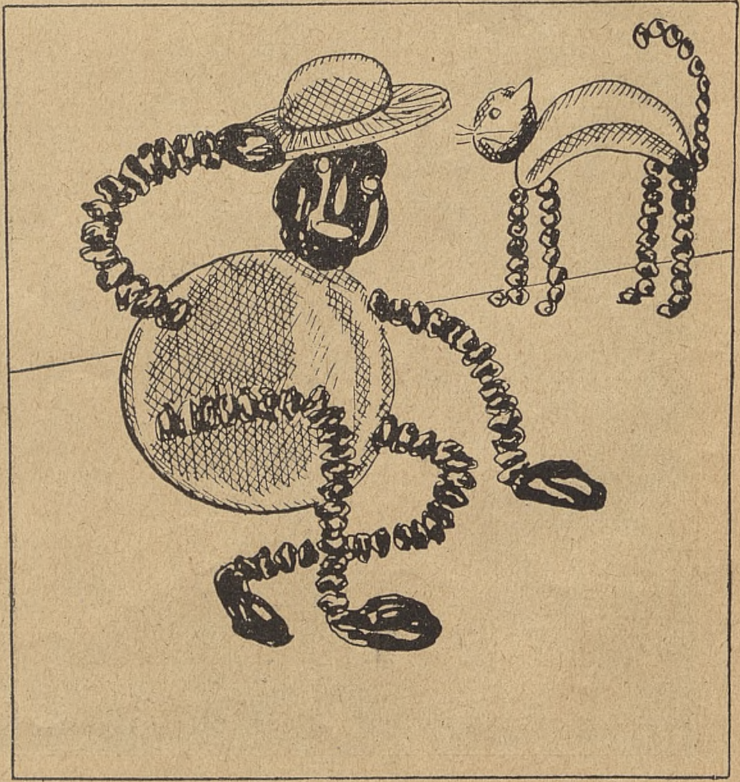
Rys. 269. — LALECZKI z drutu; nogi, ramiona owinięte łyczkiem, głowa watą, ubranie z papieru albo resztek jedwabiu. U dołu widać stelaż z drutu.

Rys. 270. — GĄSIENICA z fig, główka — kasztan, macki — rodzynki na drucikach, nóżki również druciki. Pisklę: pomarańcza albo cytryna, nóżki — orzeszki laskowe, szyjka — rodzynki, główka — duża rodzynka, ogonek — druciki zakończone rodzynkami.

Rys. 271. — MŁODZIEŃCY. Tułów — pomarańcza, głowa, stopy, ręce — daktyle albo śliwki, ramiona i nogi — drobne rodzynki, kapelusz — płatek cytryny i czubek.



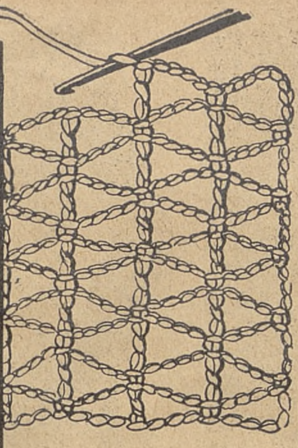
Rys. 269



Rys. 271

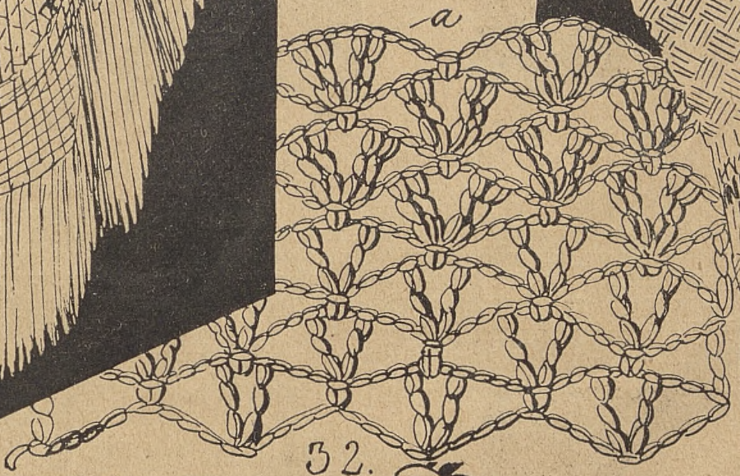
# KURS TRYKOTARSTWA SZYDEŁKOWEGO





31.



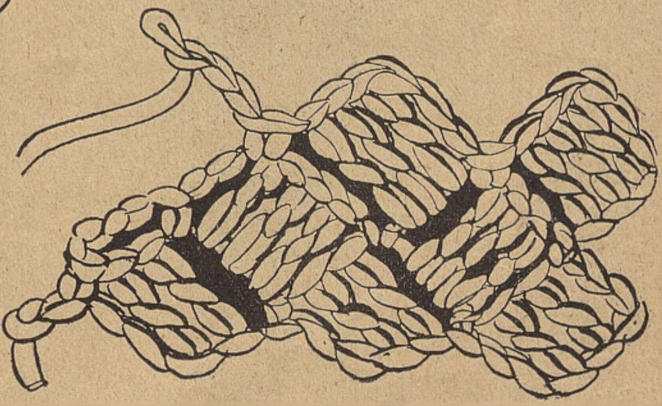




32.



33.



34.

Chustki i szale zawsze jeszcze cieszą się powodzeniem, szczególnie o ile posiadają wzór łatwy, nieskomplikowany, szybki do wykonania a przytem zużywający mało włóczki. Takim właśnie jest wzór rys. 31, spostrzeżony za granicą.

Cała chustka zrobiona tym sposobem i otoczona słupkami i oczkami w powietrzu z jedwabiu tego samego co tło koloru wyglądała bardzo powiewnie i efektownie, choć wykonanie trwało zaledwie kilkanaście godzin.

Zaczyna się łańcuszkiem długości chustki albo szerokości szala. Przy pierwszym rzędzie naprzemian 4 o. w powietrzu, 1 ścisłe oczko, 4 o. w p., 1 słupek raz nawijany zawsze do czwartego oczka łańcuszka. Przy odwracaniu: po 1 słupku 4 o. w p., 1 sł. do ścisłego oczka poprzedniego rzędu, następnie 4 o. w p. i 1 ścisłe oczko do słupka poprzedniego rzędu, i t. d. do końca, ostatniem będzie w tym rzędzie ścisłe oczko. Przy obracaniu 4 o. w p. i 1 ścisłe o. w słupek poprzedniego rzędu i t. d., rys. 31.

Odmianą tego ściegu są ściegi podane poniżej, rys. 32 i a. Zamiast jednego słupka, robi się tu po 2 słupki do ścisłego oczka poprzedniego rzędu, przedzielone 2 o. w p., albo 2 razy po 2 słupki, również przedzielone 2 o. w p. Ostatni ścieg nadaje się także na kapki na wózek i t. p. nieco gęściejsze przedmioty.

Na czapeczki, szaliki, jumperki i t. p. bardzo wzięty jest ścieg w ukośne kwadraciki. Jedynie początek wymaga zastanowienia się, ciąg dalszy już jest bardzo łatwy. Zaczynamy łańcuszkiem, który musi być o połowę dłuższy, niż dany przedmiot. Robimy 3 o. w p., 2 słupki w 2 o. łańcuszka, 1 ścisłe o. w trzecie oczko łańcuszka. Znowu 3 o. w p., 2 słupki w 2 o. łańcuszka, 1 ścisłe oczko w trzecie oczko łańcuszka i t. d. do końca łańcuszka, rys. 33.

Drugi rząd: 3 o. w p., obrócić, 1 ścisłe oczko w róg kwadracika, 3 o. w p., 3 słupki w 3 oczka w p. kwadracika poprzedniego rzędu, 1 ścisłe oczko w róg kwadracika poprzedniego rzędu i tak do końca rzędu. Przy obrocie 6 o. w p., 3 razy po 1 słupku do 4, 5 i 6 oczka licząc od szydełka, zaczepić ściesłem oczkiem o róg kwadracika poprzedniego rzędu, 3 o. w p., 3 słupki w 3 o. w p. kwadracika poprzedniego rzędu i t. d. do końca, rys. 34.

Czapeczka zrobiona z prostokąta, zeszytego ztyłu. Wyłóg robiony rzędami zwyczajnych słupków w kilku kolorach, pompon z włóczki. Szalik stosowny do czapeczki ma poprzeczne paski z rzędów słupków. Pierwszy rząd słupków po rzędzie z kwadracików robić w ten sposób, żeby wyrównały trójkątne wgłębienia, t. zn. wyciągać włóczkę więcej w miejscu wgłębień.

Zaznaczamy, że ten ścieg podobnie jak inne nieco inaczej wygląda, wykonany tam i z powrotem z obracaniem roboty, jak robiony wokoło, bez odwracania.

Z. KULCZYCKA



# KĄCIK PRAKTYCZNY

## JEDNA SUKNIA NA DWA CELE

Na rewji mód w Berlinie pokazywano paryskie modele sukien do przeobrażenia z popołudniowej na wieczorową i naodwrót. Wycięcie zakrywa się karczkiem, rodzajem bolerka albo pelerynką z rękawami; zaś na wieczór, po odrzuceniu rękawów, przypina się do spódniczki części kloszowe albo inne, tworzące zdłużenie. Niekiedy powstaje ono z pelerynki. Pokazywano np. model, o spódniczce z trzech falban, a pelerynka również z falban przypięta wieczorem do brzegu sukni ztyłu, tworzyła dziś tak modne przydłużenie.

Młodociane modele przybierało się wieczorem paskiem z rodzajem dużej szarfy zboku albo ztyłu; w dzień zaś karczek, zapięty na ramieniu i zaopatrzony w rękawy, zakrywał wycięcie.

Tych kilka wzorów niechaj służy do pobudzenia pomysłowości pań, może niejedna niemodna nawet suknia da się w ten sposób zmodernizować, tem bardziej, że można kombinować 2 rodzaje materjałów.



# SZKOLMY SŁUŻĄCE NASZE SAME!

(Dokończenie, 2)

Ochronę przeciwko tym niezdrowym warunkom współżycia znaleźć można jedynie w uregulowaniu i ujednostajnieniu wymagań stawianych służbie oraz w unormowaniu skali wynagrodzeń proporcjonalnie do uzdolnienia i wydajności pracy.

A do tego pierwszym warunkiem jest zrzeszanie się pań gospodyń między sobą, w celu stworzenia właśnie tych niezbędnych norm, na których oprzeć się będzie mógł gmach dalszego współżycia pracodawcy ze służbą. Drugim warunkiem jest szkolenie naszej służby na jednostki uzdolnione fachowo. Sprawa szkół gospodarskich oraz kursów dla służących jest projektem przyszłości, który niewiadomo kiedy się zrealizuje, a co najważniejsze przewidzieć trudno jakie da rezultaty.

Trzeba zaznaczyć, że o ile dotychczas którakolwiek z dziewczyn skończyła jakieś, choćby kilkotygodniowe kursa gospodarskie, nigdy nie zostawała służącą, ponieważ „służbę” uważała za rzecz siebie niegodną. W jej mniemaniu posiadała ona już „wyższe wykształcenie” i wobec tego szła do sklepu, za bonę lub bodaj do fabryki, ale „kuchtą” nie zostałaby za nic w świecie. Dlatego też pozwolę sobie twierdzić, że o dalszych losach naszej służby domowej decydować mogą jedynie i wyłącznie gospodynie współczesne, ich dobra wola, umiejętność i zrozumienie doniosłości chwili obecnej.

siłę twórczą, gdy służąca stanowić powinna jedynie siłę wykonawczą całokształtu domowej organizacji.

Z tego też względu pani domu musi być wyposażona w duży zasób przygotowania teoretycznego i praktycznego, aby préstige jej nigdy nie był narażony na uszczerbek. Nieobce jej winny być zasady naukowej organizacji pracy, które też trzeba aby znalazły zastosowanie przy najdrobniejszej wykonywanej czynności. Zasadami temi są: jasno wytknięty cel, analiza, plan, wykonanie i kontrola. Cel — to znaczy: powinnyśmy ściśle wiedzieć co chcemy wykonać. Potem zamiar nasz poddajemy analizie, aby tem dokładniej rozplanować sobie poszczególne czynności. Mając gotowy plan, przystępujemy do wykonania, nad którem czuwać musimy, aby nie odbiegało od powziętego planu, i to już jest naszą ostatnią czynnością, czyli kontrolą.

Kierując się powyższemi zasadami, musimy mieć pewność, że poszczególne kółka naszego gospodarstwa będą funkcjonowały systematycznie, zazębiając się wzajemnie nie przez przypadek, lecz przez zgóry obliczoną zależność. Zasób wiedzy fachowej pani domu, tak z dziedziny kulinarnej, jak i higjenicznej przenikać będzie do umysłowości służącej drogą najprostszą i niezawodną, przyzwyczajania i naśladownictwa.

Obowiązki wychowawcze pani domu nie ograniczają się na przekazaniu służącej pewnego zasobu wiedzy



O dobroci dzisiejszej służącej bezwarunkowo decyduje jej pierwsza służba i dlatego panie powinny jasno oceniać jaka odpowiedzialność pedagogiczna na nich spoczywa.

Nie chcąc znaleźć się pewnego dnia bez żadnej pomocy w gospodarstwie, musimy same zastąpić lukę wytworzoną przez brak zorganizowania dotychczas zawodowych szkół dla służby domowej, musimy osobiście podjąć trud podniesienia poziomu tak umysłowego, moralnego, jak i zawodowego naszych służących, do chwili, aż szkoły odpowiednie zastąpią nas w tej pracy.

Niejedna z pań oburzy się na samą myśl podobnej propozycji, niemniej konieczność wprowadzenia reformy zasadniczej we wzajemne stosunki dyktuje samo życie.

Aby dojść do idealnie sharmonizowanej formy współżycia wzajemnego, panie same muszą ująć własne zagadnienia gospodarcze w ustalone normy. Ujednostajnienie stawianych warunków przy zawieraniu umów, unormowanie wysokości płac, żądanie świadectw, dowodów osobistych i t. p. wpłynie niezmiernie dodatnio na wzbudzenie zobopólnego zaufania i przychylności.

Rola pani domu wyraża się w tem, że koncentruje ona w swych rękach ster ogólnego zarządu, stanowi

fachowej oraz metody pracy, lecz rozciągają się na jej stronę intelektualną, która również podlega najłatwiej — wpływom przykładów.

Opieka pani rozpościera się nietylko nad potrzebami fizycznemi służącej, to znaczy jej: odżywianiem, higjeną osobistą, warunkami pracy i spoczynku, lecz wniknąć powinna w sferę jej zainteresowań społecznych, kulturalnych i religijnych.

Służąca musi odczuwać, iż domownicy widzą w niej człowieka, i pracę jej sumiennie wykonywaną szanują. A wtedy znajdzie ona radość w pokonywaniu trudności swego zawodu i praca codzienna w umyśle jej własnym podniesie się do godności fachu.

A z zanikiem tej wewnętrznej, mniej lub więcej okazywanej pogardy dla zajęć domowych, zaniknie i znienawidzenie pracy przy gospodarstwie, które jest bodajże jedyną przyczyną nienawiści jednostek pracujących względem uprzywilejowanych jakoby stanowisk pracodawczyń.

Ufność oraz wspólność interesów staną się podłożem przyszłego współżycia, zastępując obecne naprężenie wzajemnych stosunków — przez harmonijną i owocną współpracę.

MARJA ANKIEWICZOWA

# DOBRA GOSPODYNI

**popiera wyroby krajowe**

TORTELETTES NADZIANE MASĄ MAŚLANĄ. Upiec biszkopt wysoki na 2 palce, na blasze wyłożonej papierem i wysmarowanej masłem. Gdy upieczony, zdjąć z papieru i po ostudzeniu wykroić kwadraciki albo kółka. Przełożyć masą maślaną, złożyć i polukrować, albo posmarować wierzch i boki masą maślaną



i posypać posiekanemi migdałami. W pośrodku przybrać konfiturą albo czekoladą wyciśniętą przez lejek. Masa do przełożenia: utrzeć masło z równą ilością cukru bardzo miałkiego, dodać bardzo mocnej kawy do smaku, albo rozgrzanej czekolady, lub też zrumienionych utłuczonych migdałów i soku cytrynowego.

MARCYPANKI. Utłuc 25 dkg migdałów z 1 białkiem na miazgę, dodać 25 dkg mączki cukrowej oraz 2 łyżki wody różanej i dokładnie wymiesić. Migdały można też zemleć, ale bardzo drobno, inaczej marcypan będzie się kruszył. Formować z masy różne przedmioty jak grzybki, rzodkiewki, kulki, różne owoce i t. p. Masę można zafarbować odpowiedniemi barwikami. Małe ziemniaczki tarza się w kakao, następnie zadziera w kilku miejscach nożykiem, żeby wyglądały jak popękane. Różne kiełbasy powstają przez zmieszanie drobnych kawałków marcypanu różnie zabarwionego — czerwonego z białym albo zmieszanego z kakao z białym. Wszelkie marcypanki można oczywiście maczać w polewie czekoladowej.

Pięknie wyglądają malutkie torciki. W tym celu należy wytaczać marcypan na grubość ½ cm. Wykroić okrągłe albo kwadratowe foremki czy też serduszka. Obłożyć brzeg walcem grubości małego palca i zaciąć w karby. Ułożyć foremki na blasze, na małej łopatce nałożyć rozżarzonych węgli drzewnych i zrumienić karbowane brzegi foremek, trzymając nad niemi łopatkę. Następnie nałożyć do każdej foremki cienką warstwę kwaśnej marmelady albo galaretki, a na wierzch nalać lukru różnie zabarwionego z różnemi smakami. Zawsze stosowny jest lukier cytrynowy.

Śliwki marcypanowe maczać w czekoladzie i posypać mączką cukrową zabarwioną na niebiesko.

Między dwie połówki orzechów włoskich wcisnąć masę marcypanową z kwaśną marmeladą w środku. Można maczać w czekoladzie.

HERBATNIKI. Jak słusznie zauważyła jedna z naszych Czytelniczek, mieszkanki większych miast są o tyle uprzywilejowane, że w razie niespodzianych odwiedzin posłać mogą do cukierni po wyborne ciasteczka. Na prowincji, w małych miastach i na wsi, konieczny jest zapas drobnych ciastek, które się nie starzeją szybko, t. zn. które nie tracą na dobrym smaku przez dłuższe przechowanie.

Wspomnieliśmy już, że przechowywanie w puszkach blaszanych nie jest tak korzystne jak w szklanych słojach, które nie wydzielają żadnych woni i które łatwo dokładnie oczyścić. To samo tyczy się oczywiście nakrytych naczyń porcelanowych. Laseczka wanilji złożona na dnie naczynia dodaje miłego zapachu, stosownego prawie do każdego pieczywa.

Estetyczna forma herbatników przyczynia się niemało do apetytności. Przy pewnej wprawie można piec równie piękne herbatniczki, jakie widuje się w cukierni. Potrzebne są niedrogie przyrządy, jak foremki do pieczenia i wycinania, szprycka z różnemi lejkami, radełko, szczypczyki, a na rurki i trąbki — foremki blaszane albo drewniane.

Do przybrania służą migdały, orzechy, lukry różnie zabarwione, polewa czekoladowa, marmeladki i serki owocowe, galaretki i cukier krystaliczny.

Pieczywo na maśle nie da się tak długo przechować, jak inne, bo zczasem nabiera gorzkiego smaku. Dlatego też lepiej smarować blachę woskiem, oczywiście białym, albo piec, o ile to stosowne, na opłatkach.

Herbatniczki umieszczone w karbowanych miseczkach papierowych wyglądają ponętnie; szczególnie tortowe napełnione masą powinno się w ten sposób podawać.

Byłoby praktycznie piec co kilka dni albo bodaj raz na tydzień jeden albo dwa gatunki herbatniczków na zapas i dodać do dawniej upieczonych. W dnie, w które na pewno można się spodziewać gości, można do tego zapasu upiec świeże tortowe, nie dające się dłużej przechować, żeby urozmaicić talerz. Do dłuższego przechowania nadają się wszystkie pierniczki, ciasteczka migdałowe i orzechowe, niektóre kruche i prawie wszystkie powleczone czekoladą.

KEKSY. Utrzeć 8 dkg masła z 14 dkg cukru, 1 jajem i cukrem waniljowym, na stolnicę złożyć 25 dkg mąki, dodać utarte masło z dodatkami sody na koniec noża i 3 łyżki śmietany. Zamiesić ciasto, wywałkować dość cienko, wyciąć keksy specjalnemi foremkami, upiec na wysmarowanej blasze na jasny kolor.



PRECELKI Z RUMEM. Utrzeć 7½ dkg obranych migdałów na maszynce a potem w misce z 1 jajem. Dodawać stopniowo 18 dkg masła, 12 dkg cukru, 25 dkg mąki, szczyptę soli, cukru waniljowego i odrobinę rumu, żeby ciasto było dość wolne i dało się wyciskać przez lejek w małe precelki na blasze wysypanej mąką. Posypać miałkim cukrem i upiec, następnie powlec rumową polewą. W tym celu zagotować 15 dkg cukru na syrup do nitki, utrzeć gęsty lukier, dodać kieliszek od likieru rumu, odrobinę soku cytrynowego i powlec ciepłe precelki. Osuszyć w letniej rurze.

NADZIEWANE ROGALIKI. Wymiesić kruche ciasto z kilku tartemi migdałami, pokrajać kwadraciki, napełnić gęstą marmeladą albo masą orzechową, zwinąć, posmarować rozbitem jajkiem, posypać posiekanemi migdałami, upiec.

INNE ROGALIKI. Utrzeć 18 dkg masła z 23 dkg cukru, dodać stopniowo 3 żółtka i 2 jaja, łyżeczkę cynamonu i kilka zmielonych goździków, dodać to do 35 dkg mąki na stolnicę, zamiesić ciasto, wywałkować, pokrajać w trójkąty, nadziać marmeladą i piec na blasze posypanej mąką.

CIASTECZKA ORZECHOWE. Zamiesić ciasto z 25 dkg mąki, 15 dkg masła, 2 żółtek, 10 dkg tartych orzechów, 10 cukru, wywałkować na grubość ½ cm, pokrajać w paski szer. 2 cm a dług. 4 cm, wycisnąć 2—3 poprzeczne rowki i upiec. Gdy ciasteczka wystygną, napełnić rowki lukrem cytrynowym albo czekoladą przez trąbkę papierową.



CIASTKA MIGDAŁOWE NA OPŁATKACH. Ubić 3 białka, z 20 dkg cukru, dodać 12 dkg posiekanych migdałów i tyleż drobno pokrajanych daktyli, ułożyć łyżeczką kupki na opłatkach i upiec.

SIEKANE CIASTECZKA. Ułożyć na stolnicy 25 dkg mąki, 12½ dkg cukru, tyleż masła, 2 łyżki śmietany i sok z ¼ cytryny. Posiekać wszystko siekaczem, żeby się dokładnie zmieszało, następnie ścisnąć w kulę, ale nie miesić i pozostawić do następnego dnia. Wtedy rozwałkować ciasto, wyciąć gwiazdki, posmarować rozbitem jajkiem, posypać krystalicznym cukrem i upiec.

CIASTECZKA PIASKOWE. Utrzeć 25 dkg masła z 25 dkg cukru, dodać stopniowo 2 całe jaja i 1 żółtko, skórki cytrynowej, wymiesić wszystko z 50 dkg mąki, wywałkować, wyciąć ciasteczka, posmarować jajkiem i upiec. Przybrać kwaśną marmeladą.

CIASTKA Z DOŁKIEM. Zamiesić ciasto z 15 dkg masła utartego z 8 dkg cukru z wanilją, 18 dkg mąki i 2 żółtek. Formować kulki wielkości kasztana, ułożyć na wysmarowanej blasze, wycisnąć w każdej dołek palcem, posmarować wkoło jajkiem, posypać siekanemi migdałami i upiec. Gdy ostygną, napełnić dołki marmeladą i lukrem cytrynowym.

# TOWAROZNAWSTWO

Ciąg dalszy

Ważne jest solidne przyprawienie nóg. O ile nie mogą być zrobione łącznie ze sprzętem, powinny być spojone albo głęboko wprawione, a nie przyklejone tylko, żeby nie odpadały przy lada poruszeniu. Meble bez nóg niekoniecznie są praktyczne, gdyż nie można pod niemi wymiatać bez odsuwania. W mieszkaniach parterowych nie nadają się, gdyż brak przewiewu powoduje często wilgoć. Trudno sprzątać bez uszkodzenia dolnej części mebli. Okucie z mosiądzu niekiedy chroni je wprawdzie, ale dodaje trudu czyszczenia.

Obecnie bardzo modne są meble lakierowane gładzone, w szczególności w pokojach sypialnych i dziecięcych. Lakieruje się te sprzęty kilkakrotnie, przyczem wygładza się czyli szlifuje każdą warstwę w specjalny sposób. Możliwe, że wysoka cena twardych drzew sprowadziła tę modę albo też praktyczność. Meble takie można zawsze odlakierować, ale zabieg wygładzenia wymaga fachowych wiadomości, a ponieważ jest on dość mozolny, meble te nie należą do najtańszych. Umożliwiają one zastosowanie najrozmaitszych barw, co przy obecnem zamiłowaniu do barwnego całokształtu wnętrz zdobywa tym sprzętom licznych zwolenników.

Meble kupuje się zwykle na długi okres czasu, najczęściej na całe życie. Dlatego trzeba się dobrze namyślić przed wyborem. Jeśli nie rozporządza się większemi funduszami, powinno się wybrać meble skromne a solidne. Wszystkie tanie ozdoby wkrótce źle wyglądają i rażą przez swą pretensjonalność przy braku solidności. Różne imitacje intarsyj, rzeźb i t. p. ozdób, raczej szpecą niż zdobią. Daleko lepsze wrażenie czynią sprzęty o prostych harmonijnych kształtach, bez ozdób, nie chcące naśladować drogocennych drzew, tylko szczerze pokazujące swe skromne ale solidne pochodzenie.



Bardzo praktyczne do ciasnych mieszkań są meble patentowe, które na noc zamieniają się na łóżka. Trzeba je jednak wybierać w dobrym gatunku, gdyż wszelkie sprężyny i inne przyrządy niszczą się szybko przy stałem używaniu. Prócz znanych powszechnie składanych foteli i sofek tworzy się coraz nowe kombinacje, jak łóżko-szafa, łóżko-kredens, łóżko-stół i t. p.

Sympatyczną nowością są meble składane z kilku części, które można zestawiać na najrozmaitsze sposoby i tworzyć z nich różne kombinacje. Szafki i półki różnego kształtu i wielkości zestawia się różnie i w różnych kierunkach i zyskuje przez to bądź to kredens, bądź bibljotekę albo witrynę czy też różne mniejsze sprzęty, zawsze praktyczne i pożyteczne.

Dla dbałej gospodyni ważną rolę odgrywa urządzenie kuchenne. W tej dziedzinie powstało dużo pożytecznych nowości. Znikają już wszelkie odkryte półki, skomplikowane kredensiki i wieszadła. Kredens jest prosty, cały zamknięty, osobna szafa służy do schowania naczynia i garnków, a wewnątrz drzwi znajdują się drążki do włożenia pokrywek, łyżek, kołotewek i t. p. przyborów do gotowania. Wszystko chroni się przed kurzem, nawet wszelkie puszki na wiktuały znajdują się w szafie albo szafce, co jest bardzo higjeniczne i oszczędza gospodyni mnóstwo czasu, trawionego dawniej na odkurzaniu bez końca. Radzimy więc przy kupowaniu urządzenia kuchennego kierować się względami praktyczności i wybrać raczej o jedną szafę więcej, jak półki i półeczki. Stoły i stołki powinny mieć schowki na różne przedmioty, jak cebrzyki do zmywania i t. p., przez co oszczędza się miejsce i ułatwia sprzątanie i utrzymanie porządku i czystości.

Zwierciadła są koniecznem uzupełnieniem umeblowania, gdyż nietylko służą do odbijania osób mniej lub więcej dbałych o swą powierzchowność, ale także upiększają mieszkania, które, przy umiejętnem rozmieszczeniu, czynią napozór większemi i jaśniejszemi.

Wiadomo każdemu, że sporządza się je po części z rtęci na płycie szklanej. Bardzo dużo zależy od jakości właśnie tej płyty, która musi być idealnie równa, z najlepszego szkła kryształowego i rznięta na brzegach. Wprawdzie rznięcie to naśladuje się teraz często, ale można je poznać po ostrym brzegu. Stosuje się je do płyt grubych lepszego gatunku, gdyż cienkiego szkła — rzecz jasna — nie można w ten sposób rznąć.

Najmniejsza skaza szkła czyni je nieprzydatnem na zwierciadło, tak samo najlżejsze odchylenie od idealnej równości. Od niej też zależy, czy zwierciadło poszerza czy wydłuża odbicie, czego jaskrawy dowód mamy na zwierciadłach wypukłych lub wklęsłych. W dużych magazynach mód za granicą wyzyskują tę właściwość zwierciadeł i wybierają lustra nieznacznie wysmuklające. Zwierciadło poszerzające choć o atomy tworzy niekiedy rozpacz właścicielki, która nie zna nawet wady swego sprzętu i bez skutku używa kuracji wysmuklającej, gdyż odbicie nie ukazuje nigdy wymarzonej linji.

Podkład różni się niedostrzegalnie na pierwszy rzut oka — o cień jaśniejszy lub ciemniejszy. Stąd pochodzi objaw, że w jednem lustrze można wyglądać mizernie — mianowicie w ciemniejszem — zaś w jaśniejszem korzystnie.

Przy kupnie należy więc uważać na te różnice, lecz należy oczywiście porównywać w jednakowem oświetleniu.

Odwrotna strona zwierciadła powinna być powleczona wystarczającą warstwą czerwonej minji, zabezpieczającą rtęć przed wilgocią. Prócz tego trzeba zwrócić uwagę na szczelne zaszalowanie strony odwrotnej deskami bez szpar, żeby uchronić podkład przed owadami i różnemi uszkodzeniami, które trudno naprawić. Cenne kryształowe lustra można wprawdzie dać w fabryce nanowo podłożyć, lecz jest to zabieg kłopotliwy i dość drogi, dlatego lepiej zapobiec szkodzie.

Oczywiście ważną rolę odgrywają ramy, które powinny być tem mocniejsze, im większe jest zwierciadło. Bardzo solidne i trwałe jest przytwierdzenie lustra zapomocą ozdobnych śrub wprost na desce drewnianej, stosownej do umeblowania. Tu ramy stają się zbyteczne, a lustro jest chronione przed wilgocią i innemi szkodliwemi wpływami. Doniedawna nie widywano tego rodzaju luster w pokojach, tylko jedynie w lokalach publicznych, sieniach, łazienkach i t. p., lecz obecna moda, zdążająca do uproszczenia wszelkich sprzętów, faworyzuje je także w pokojach.

Z. KULCZYCKA

## Odmładzanie cery

W poprzednim artykuliku wspomniałem o wpływie odmładzającym ciepła, w połączeniu z jednoczesnem działaniem kremu, z zawartością ożywczych składników. Dla cery prawidłowej poleciłem w celu zapobiegawczego pokrzepienia: **krem „Mira" Dra Lustra,** dla suchej zaś i starzejącej się: **krem „Oxa" Dra Lustra.** Spłókiwania twarzy gorącą wodą dorównują w skutkach masażowi, chodzi bowiem o przypływ świeżego strumienia krwi do skóry. Zimna woda działa wręcz przeciwnie. Trojakie są przegrzewania skóry ciepłem. Twarz powleka się (nie wciera się) kremem **„Mira"** względnie **„Oxa"**, poczem spłókuje się ją długo gorącą wodą. Intensywniej ożywia się skórę, stosując, oprócz spłókiwań — kremem „Oxa" natłuszczonej twarzy — naparzania nad parą. W wypadkach przedwczesnego wiotczenia cery, stosuje się na natłuszczonej twarzy kremem **„Oxa"** — **kataplazmy ze sproszkowanego siemienia lnianego.** Zabieg ten dorównuje niemal przegrzewaniu twarzy diatermją. Sposób przyrządzenia kataplazmu objaśni każdy z pp. Aptekarzy. W zimie pudrować twarz obficie pudrem **egzotycznym Dra Lustra.**

1013 Dr Z. B.

# ODPOWIEDZI REDAKCJI

STAŁA PRENUMERATORKA. — Nadesłanych nam poezyj p. t. „Oczekiwanie“ drukować nie możemy. Nie cytujemy nigdy wyjątków z prac nieprzyjętych.

SAMOTNA. — W liście moglibyśmy odpowiedzieć dokładniej i obszerniej. — 1. Nie słyszeliśmy o tym środku niczego złego; składników jego nie znamy. Natomiast wiemy, że przetwory Henny, środka roślinnego, jak np. L'Oréal-Henné są nieszkodliwe. — 2. Owszem, istnieją kremy zastępujące puder. — 3. Owszem; przy czerwonem winie.

OSZCZĘDNA. — Posiadanie futra nie jest warunkiem zimowej elegancji. Wobec rzucenia na rynek kuśnierski nieprzebranej masy lichych futer w ostatnich latach, postanowiły elegantki powrócić do swoich łask płaszcze zimowe z materjałów wełnianych. Były o tem przed dwoma miesiącami informacje w „Ploteczkach o modzie“, które kochane Czytelniczki niedość uważnie czytają. Wełniany płaszcz należy grubo podwatować, specjalnie na plecach i klatce piersiowej dla zabezpieczenia płuc przed zaziębieniem, i zaopatrzyć w duży kołnierz futrzany oraz mankiety. Można też podszyć taniem płaskiem futerkiem, albo zużyć stare futro. Najszykowniej wygląda materjał czarny, ciemno-granatowy, ciemno-fiołkowy lub ciemno-brunatny.

BLONDYNKA ZE WSI. — Najlepsze z farb: Orientol, L'Oréal, pod warunkiem że są świeże. Która najodpowiedniejsza dla Pani, ocenić musi specjalista, gdyż to zależy od gatunku i wytrzymałości włosów. Skoro mieszka Pani tak blisko Lwowa, radzimy udać się do salonu fryzjerskiego A. P r e v e n d a r a, pl. Bernardyński 5, gdzie przychodzą świeże transporty farb co miesiąc. Sam zaś właściciel posiada paryski dyplom profesora specjalisty farbowania włosów i kreowania artystycznych fryzur. Ma na składzie czarujące peruczki na karnawał, bezkonkurencyjny środek do przyciemnienia rzęsów i brwi na stałe, wytworną perfumerję i najnowsze kosmetyki. Salon p. Prevendara robi wrażenie pierwszorzędnej firmy zagranicznej, może więc Pani udać się tam z całem zaufaniem.



# Z NADESŁANYCH KSIĄŻEK

**Gustaw Morcinek:** S e r c e z a t a m ą. Nowele. Z przedmową Zofji Kossak Szczuckiej. Nakład Księgarni św. Wojciecha. — Tym zbiorem nowel i obrazków autor daje się po raz pierwszy poznać szerszemu kołu czytelników. Jest Ślązakiem z pod Cieszyna, patrjotą rzetelnym, bacznym postrzegaczem życia górników karwińskich. Zna miasto i wieś, rolę i kopalnię. Ma talent naracyjny, styl jędrny i umie przedstawić wylew uczuć serdecznych synów Śląska. Miłość ojczyzny, rodziny, kobiety, miłość nawet obcego dziecka w różnej postaci i skali, nicią czerwoną sprzęga jego utwory. Lud cieszyński ma ukryte w duszy klejnoty uczuć i tradycyj, które artysta winien spożytkować w większym rozmiarze. Pierwszy krok autora na najbliższem mu polu regjonalnem jest udatny, a kto jest Ślązakiem z krwi i kości jak p. Morcinek, ten pokusi się o pełny obraz, czyto wsi śląskiej, czy doli niedoli braci w podziemiach, jasnych błękitów lub czarnej otchłani.

**Jan Szczepkowski:** W ł a d c y k n i e i. Obrazki myśliwskie. Z przedmową Juljana Ejsmonda. Z 6 ilustr. Stan. Sawiczewskiego i winietą Mieczysława Szczepkowskiego. Nakład Księgarni św. Wojciecha. Księgi przygód łowieckich należą do najpoczytniejszych, o czem świadczy także nowe bardzo staranne wydanie „Władców kniei“. Autor ujmuje przedmiot nie ze strony techniki łowieckiej i nie dlatego, aby popisywać się trofeami myśliwskiemi. Jest artystą o sercu subtelnem. Potrafi wczuć się w przeżycia zwierzęcia i oddać ze wzruszeniem (w obrazku „Niedźwiedzica“), przelewającem się rzewną strugą z jego serca w serce czytelników, miłość macierzyńską niedźwiedzicy. Umie też wnieść nastrój pogodny i wesoły (w obrazku „Dzik“). Książka jego jest poniekąd apelem do myśliwych, by oszczędzali ginące resztki drobnego i grubego zwierza.

**Edward Kozikowski:** W t o w a r z y s t w i e w i e r z b y. (Czarnolas.) Nakład Księgarni św . Wojciecha. — Z tych wierszy „czartakowca“ przebija melancholja, wyrosła niby kwiat bujny lecz samotny, z myśli o cieniach ukochanej matki. Mgły górskie, dźwięk sygnaturki, Mokry Staw, „gdzie nikt nie przychodzi“ potęgują chwilowo smętek poety. Lecz choć tęskni, choć wie, że nie spotka umiłowanej na żadnym gościńcu, w szeleście traw, w brzęczeniu muszek odróżnia wyraźnie takt jej serca. Myśl o wieczności zaprząta go więcej, niż boleść po dotkliwej stracie. Poważny i szczery ton poezyj Kozikowskiego wywołuje odgłos dodatni w duszy czytelnika, a piękna szata zewnętrzna daje im wstęp tam, gdzie się pieści wszelki utwór sztuki.

**Zane Grey:** U p o d n ó ż a t ę c z y. Przełożył z ang. St. Barszczewski. Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie. — Powieść ta pozostaje w pewnym związku z poprzednio wydaną powieścią „Jeźdźcy purpurowego stepu“, chociaż stanowi odrębną całość. Autor przenosi nas w środowisko Mormonów, tym razem jednak do młodszego pokolenia, znacznie mniej sfanatyzowanego. Do skalistego i pustynnego Utahu przybywa młody, wykolejony, łaknący silnych wrażeń człowiek, aby odnaleźć znaną mu tylko z opowiadań Fay Larkin, młodą dziewczynę, uwięzioną wraz z innymi bohaterami „Jeźdźców“ w Dolinie Niespodzianek. Zyskuje prawdziwych, oddanych przyjaciół i wraz z nimi niejednokrotnie naraża się na ścinające krew w żyłach niebezpieczeństwa, jakiemi mu zagrażają nieubłagani, zdziczali wrogowie. Powieść czyta się z prawdziwą przyjemnością i prawie niepodobnem jest oderwać się od niej przed końcem.

**Janusz Korczak:** P r a w i d ł a ż y c i a. 143 str. — Przezacny „Przyjaciel wszystkich dzieci“ i wytrawny wychowawca kreśli zarys pedagogiki dla dzieci i dorosłych.

**Helena Bobińska:** O s z c z ę ś l i w y m c h ł o p c u. 245 str. — O zaletach tej pięknej, pełnej tężyzny moralnej i zdrowia książki świadczy najlepiej trzecie już wydanie.

**Tejże:** T a j e m n i c a R o m k a. 90 str. — Dalsze losy Romka Nawrockiego ze „Szczęśliwego chłopca“.

**H. Iljin:** 100 t y s i ę c y „d l a c z e g o“. Podróż po mieszkaniu. Przełożyła Zofja Warszawska. 115 str. 108 rysunków. — Inteligentne i zajmujące odpowiedzi na mnóstwo pytań, które mogą i powinny interesować naszą dziatwę.

**„Lwowskie Wiadomości Muzyczne i Literackie“** pod kierownictwem Wł. G o ł ę b i o w s k i e g o, osiągnęły nader wysoki poziom. Nr. styczniowy zawiera artykuły wybitnych autorów. — Dr. A. Chybiński pisze barwnie o „Melodjach Tatrzańskich“ Paderewskiego, dr. J. Reiss zamieszcza kapitalną rozprawę na temat ideologji dzisiejszej muzyki, Cz. J-Kozłowski drukuje doskonały filozoficzny artykuł o rozwoju ludzkości, dr. A. Fiszer zamieszcza obszerne i bardzo ciekawe sprawozdanie z międzynarodowej konferencji Komisji Sztuki Ludowej (Rzym), K. Czachowski omawia twórczość Jasieńskiego i Lawrence'a, Wł. Gołębiowski podaje garść ciekawych informacyj z Warszawy. — Recenzje i sprawozdania zamykają numer tego bardzo poważnego i sympatycznego pisma.




Redaktorki: **Konstancja Hojnacka, Wanda Tomaszewska**

Wydawca: B. Połoniecki, Lwów. — Odp. red.: Wł. Słowik. — Adres Redakcji i Administr.: Lwów, Chorążczyzna 27; Warszawa, Wilcza 3

Telefon administracji: 4-32 Z drukarni Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Telefon redakcji: 48-34

**Od czterech lat zarówno cena poszczególnego numeru jak i prenumerata „Świata Kobiecego" nie uległy zmianie, mimo że niejednokrotnie w tym czasie wzrastały koszty papieru, druku, oraz koszta administracyjne, obecnie jednak, kiedy nadomiar tego wszystkiego podniosły się koszta przesyłki, z największym wysiłkiem udało się nam utrzymać dotychczasową cenę poszczególnego zeszytu „Świata Kobiecego", natomiast prenumerata miesięczna, kwartalna, półroczna i roczna musiały ulec minimalnej podwyżce.**

**WARUNKI PRENUMERATY ŚWIATA KOBIECEGO NA ROK 1930:**

**CENA ZESZYTU ZŁ 2·— wraz z przesyłką**

| | | | |
|---|---|---|---|
| Miesięcznie | ( 2 zeszyty): | zł 4·— | (przedtem zł 3·80) |
| Kwartalnie | ( 6 zeszytów): | zł 11·— | (przedtem zł 10·50) |
| Półrocznie | (12 zeszytów): | zł 19·— | (przedtem zł 18·—) |
| Rocznie . . | (24 zeszytów): | zł 38·— | (przedtem zł 36·—) |

**Prenumeratę prosimy wpłacić zapomocą załączonego blankietu P. K. O. Kto zapłaci prenumeratę półroczną, otrzymuje piękny tom „Almanachu Świata Kobiecego" (Pierwszy, Drugi, Trzeci, Czwarty lub Piąty do wyboru). Na koszta przesyłki prosimy załączyć zł 1·5[illegible]**

**Administracja „Świata Kob[illegible]**